

PATRICK MODIANO

• Willa Triste •

•
NOBEL
2014
•

znak

PATRICK MODIANO

• Willa Triste •

Przekład

Joanna Polachowska

Wydawnictwo Znak

Kraków 2014

PATRICK MODIANO

laureat Nagrody Nobla w dziedzinie literatury 2014

Patrick Modiano urodził się w 1945 roku w Boulogne-Billancourt. Studiował w Paryżu, ale nigdy nie uzyskał dyplomu. W 1968 opublikował swoją pierwszą powieść *La Place de l'Etoile*. W 1978 otrzymał Nagrodę Goncourtów za *Ulicę Ciemnych Sklepików*, zaś w 1996 został uhonorowany Grand Prix National des Lettres za całokształt twórczości. Jego książki przetłumaczono na ponad trzydzieści języków, choć przed otrzymaniem Nagrody Nobla był mało znany poza Francją.

Za powieść *Nawroty nocy* uhonorowano go dwiema ważnymi nagrodami literackimi: Grand Prix-Félix Fénéon oraz Plume de Diamant.

Modiano jest autorem nie tylko powieści, lecz także wywiadów, scenariuszy filmowych, między innymi *Lacombe*, *Lucien* wyreżyserowanego później przez Louis'a Malle'a, oraz tekstów wielu popularnych we Francji piosenek.

Główne tematy prozy Modiano to przede wszystkim rozliczenie z okresem dorastania, ciągle poszukiwanie tożsamości oraz niemożność zrozumienia praw rządzących społeczeństwem. Jego pisarstwo jest mroczne, melancholijne, pełne niedopowiedzeń i tajemniczych historii z przeszłości, które przyciągają tak wielu czytelników.

Dziewiątego października 2014 roku Patrick Modiano otrzymał Nagrodę Nobla w dziedzinie literatury za „kunszt pamiętania i dzieła, w których ukazał najbardziej nieuchwytnie ludzkie losy i odkrył świat czasu okupacji”.

Dla Rudy'ego

Dla Dominique

Dla Ziny

Kimże jesteś, który oglądasz cienie?

ROZDZIAŁ I

Zburzyli hotel Verdun. Był to dziwaczny budynek naprzeciwko dworca, otoczony werandą z butwiejącego drewna. W przerwach między pociągami stawali tu na noc komiwojażerzy. Mówiono o nim, że to dom schadzek. Zniknęła także kafejka w rotundzie. Jakże się ona nazywała – Café des Cadrans czy Café de l’Avenir? Pomiedzy dworcem i trawnikami na placu Alberta I rozciąga się teraz wielka pustka.

Nie zmieniła się za to ulica Royale, lecz zimna i późna pora sprawiają, że idąc nią, ma się wrażenie, jakby się szło przez wymarłe miasto. Wystawy księgarni Chez Clément Marot, jubilera Horovitza, Deauville, Genève, Le Touquet i angielskiej cukierni Fidel-Bergera... Dalej salon fryzjerski René Pigaulta. Witryny Henry’ego à la Pensée. Poza sezonem większość tych eleganckich sklepów jest zamknięta. W miejscu gdzie zaczynają się arkady, jaśnieje czerwono-zielony neon Cintry. Na przeciwległym chodniku, u zbiegu ulicy Royale i placu Pâquier – Taverne, dokąd latem przychodziła młodzież. Czy dziś nadal ma tę samą klientelę?

Nic już nie zostało z tej wielkiej kawiarni, z jej żyrandoli, luster i stolików z parasolami, kiedyś wylewającymi się aż po jezdnię. Koło ósmej wieczorem wędrowano tu od stolika do stolika, tworzyły się grupy. Wybuchy śmiechu. Jasne włosy. Pobrząkiwanie kieliszków. Słomkowe kapelusze. Gdzieniegdzie barwny akcent plażowego stroju. Szykowano się do nocnej zabawy.

Tam po prawej biały i masywny gmach kasyna, otwartego tylko od czerwca do września. Zimą w sali do bakarata miejscowy patrycjat dwa razy w tygodniu grywa w brydża, grill-room służy zaś jako miejsce spotkań okręgowego Rotary Clubu. Za

nim łagodnym stokiem spływa aż po jezioro park Albigny ze swoimi wierzbnymi płaczącymi, muszlą koncertową i przystanią, gdzie wsiada się na sfatygowany stateczek kursujący między małymi miejscowościami położonymi nad wodą: Veyrier, Chavoires, Saint-Jorioz, Eden-Roc, Port-Lusatz... Zbyt długo by wyliczać. Ale są słowa, które trzeba nucić nieznużenie niczym kołysankę.

Dalej aleja Albigny okolona platanami. Biegnie wzdłuż jeziora i w miejscu gdzie zakręca na prawo, widać białą drewnianą bramę – wejście do Sportingu. Po obu stronach wysypanej żwirem alei korty tenisowe. Potem wystarczy już tylko przymknąć oczy, by znów ujrzeć długi rząd kabin i piaszczystą plażę, ciągnącą się na długości prawie trzystu metrów. Na dalszym planie ogród angielski otaczający bar i restaurację Sportingu, które mieściły się w dawnej oranżerii. Wszystko to tworzy cypel, który w okolicach 1900 roku należał do konstruktora samochodów, Gordon-Gramme'a.

Po drugiej stronie alei Albigny, na wysokości Sportingu, zaczyna się bulwar Carabacel. Biegnie zakosami w górę do hoteli Hermitage, Windsor i Alhambra, ale można też dostać się do nich kolejką linową. Latem kursuje ona aż do północy i czeka się na nią na małym dworcu, z zewnątrz przypominającym góralską chatę. Tutejsza roślinność jest bardzo różnorodna i właściwie nie wiadomo, czy jest się w Alpach, czy na śródziemnomorskim wybrzeżu, czy może nawet w tropikach. Pinie. Mimozy. Świerki. Palmy. Z biegnącego wzdłuż zbocza doliny bulwaru rozciąga się rozległy widok na całe jezioro, łańcuch górski Aravis, a na przeciwległym brzegu jeziora – ten nieuchwytny kraj zwany Szwajcarią.

Teraz w Hermitage'u i Windsorze mieszczą się już tylko umeblowane apartamenty. W Windsorze ocalały jednak drzwi obrotowe, a w Hermitage'u przeszklona ściana będąca przedłużeniem hallu. Pamiętajcie – cała była obrośnięta bugenwillą. Windsor zbudowano około 1900 roku i jego biała fasada miała ten sam piankowy wygląd co fasady Ruhla i Negresco w Nicei. Hermitage o ścianach koloru ochry był skromniejszy i bardziej majestatyczny. Przypominał hotel Royal w Deauville. Tak, wypisz wymaluj, bliźniaczy brat. Czy rzeczywiście zamieniono je w apartamentowce? W oknach nie widać żadnych świateł. Trzeba by odwagi, żeby zapuścić się w te ciemne korytarze, wejść po schodach. Bo wtedy mogłoby się okazać,

że nikt w nich nie mieszka.

Alhambra została natomiast zrównana z ziemią. Nie pozostał nawet ślad po otaczających ją niegdyś ogrodach. W tym miejscu powstanie zapewne jakiś nowoczesny hotel. Mały wysiłek pamięci: latem ogrody Hermitage'u, Windsoru i Alhambry przywodziły nieodparcie na myśl obraz rajy utraconego lub ziemi obiecanej. Tylko w którym z nich znajdował się ten olbrzymi klomb dali i ta balustrada, o którą opieraliśmy się łokciami, patrząc na jezioro w dole? Nieważne. Byliśmy ostatnimi świadkami pewnego świata.

Jest bardzo późno, zima. Po drugiej stronie jeziora ledwie mającą wilgotne światła Szwajcarii. Z bujnej zieleni bulwaru Carabacel zostało tylko kilka obumarłych drzew i kępy skarłałych krzewów. Fasady Windsoru i Hermitage'u są mroczne, zda się spopielale. Miasto utraciło swój kosmopolityczny, letniskowy polor. Skurczyło się do rozmiarów stolicy departamentu. Zwykła, przycupnięta na głębokiej prowincji miejscina. W podupadłym kasynie grywają w brydża notariusz i podprefekt. I właścicielka salonu fryzjerskiego pani Pigault, jasnowłosa, pachnąca perfumami Shocking czterdziestolatka. Obok niej Fournier junior, którego rodzina posiada trzy fabryki tekstyliów w Faverges, i Servoz z firmy farmaceutycznej w Chambéry, znakomity golfista. Podobno pani Servoz, ta z kolei brunetka, nadal kursuje bmw między Genewą i swoją willą w Chavoires i bardzo lubi młodych chłopców. Często widywana jest w towarzystwie Pimpina Lavorela. I moglibyśmy przytoczyć mnóstwo innych, równie błahych, równie konsternujących szczegółów z życia codziennego tego miasteczka, bo w ciągu dwunastu lat rzeczy i ludzie z całą pewnością się nie zmienili.

Kawiarnie są zamknięte. Przez drzwi Cintry przesącza się różowe światło. Chcecie wejść i sprawdzić, czy wciąż są tu te same mahoniowe boazerie, czy lampa z abażurem w szkocką kratę nadal wisi w tym samym miejscu – z lewej strony baru? Nie zdjęto też fotografii Emile'a Allaisa zrobionych w Engelbergu, kiedy zdobył mistrzostwo świata. Ani Jamesa Coutteta. Ani zdjęcia Daniela Hendrickxa. Nadal wiszą nad rzędami butelek aperitifów. Pożółkły już, oczywiście. A w półmroku samotny klient, mężczyzna o przekrwionej twarzy i w kraciastej marynarce z roztargnieniem podrywa barmankę. Na początku lat sześćdziesiątych była zabójczej urody, ale od tamtej pory zrobiła się nieco przyciężka.

Na pustej ulicy Sommelier słychać echo własnych kroków. Po lewej kino Régent, takie samo jak kiedyś; identyczny pomarańczowy tynk, identyczne ciemnoczerwone, pochyłe czcionki szyldu „Régent”. Musieli jednak unowocześnić salę, wymienić drewniane fotele i zdobiące wejście fotosy gwiazd ze studia Harcourta. Plac de la Gare to jedyne miejsce w mieście, gdzie palą się jeszcze jakieś światła i panuje nieco ożywienia. Sześć minut po północy przyjeżdża ekspres do Paryża. Żołnierze na przepustce z koszarów Berthollet, z metalowymi lub tekturowymi walizkami w ręku, nadciągają małymi hałaśliwymi grupkami. Kilku śpiewa *Mon beau sapin*; znak, że Gwiazdka już blisko. Na peronie drugim tłoczą się, klepią się po plecach. Można by pomyśleć, że wyruszają na front. Wśród wojskowych płaszczy – beżowy garnitur cywila. Ubrany weń mężczyzna zdaje się nie odczuwać chłodu; szyję ma owiniętą zielonym, jedwabnym szalikiem, na którym nerwowo zaciska dłoń. Wędruje od grupy do grupy, ze spłoszoną miną obraca głowę to w lewo, to w prawo, jakby pośród tej ciżby wypatrywał czyjeś twarzy. Przed chwilą zaczepił nawet jakiegoś żołnierza, ale ten, współ z dwójką swoich towarzyszy, mierzy go tylko od stóp do głów szyderczym spojrzeniem. Inni, gdy obok nich przechodzi, odwracają się i gwizdzą. Mężczyzna udaje, że tego nie zauważa. Przygryza w zębach cygarniczkę. Zatrzymał się teraz nieco na uboczu w towarzystwie młodego jasnowłosego strzelca alpejskiego, który sprawia wrażenie skrepowanego i co chwila rzuca ukradkowe spojrzenie w stronę kolegów. Tamten kładzie mu dłoń na ramieniu i szepcze coś do ucha. Młody alpejczyk próbuje się uwolnić. A wtedy mężczyzna wsuwa mu do kieszeni płaszcza kopertę, spogląda na niego bez słowa i ponieważ zaczyna padać śnieg, podnosi kołnierz marynarki.

Mężczyzna nazywa się René Meinthe. Nagle unosi lewą dłoń do czoła i osłaniając nią oczy, zastyga w geście tak dla niego charakterystycznym przed dwudziestu laty. Jakże się postarzał...

Na dworzec wjechał pociąg. Hurmem się do niego rzucają, przepychają się w korytarzach, opuszczają okna, podają sobie walizki. Niektórzy śpiewają *Ce n'est qu'un au revoir*, ale większość woli ryczeć na całe gardło *Mon beau sapin*. Śnieg sypie coraz gęściej. Meinthe, osłaniając oczy daszkiem dłoni, stoi nieruchomo. Zza szyby, ze złośliwym uśmieszkiem przygląda mu się młody blondynek. Machinalnie

przyklepuje swój beret strzelca alpejskiego. Meinthe unosi dłoń na pożegnanie. Przesuwają się wagony, uwożąc gromady wyśpiewujących i machających rękami żołnierzy.

Meinthe wkłada ręce do kieszeni marynarki i rusza do dworcowego bufetu. Dwóch kelnerów ustawia stoły i zamiata wokół nich zamaszystymi, ospałymi ruchami. Za barem mężczyzna w trenczu ustawia ostatnie kieliszki. Meinthe zamawia koniak. Mężczyzna oschłym tonem odpowiada, że bar jest już nieczynny. Meinthe znowu prosi o koniak.

– Tutaj – mówi mężczyzna, przeciągając sylaby – tutaj ciot nie obsługujemy.

Tamci dwaj wybuchają śmiechem. Meinthe nieruchomo, ze znużonym wyrazem twarzy wpatruje się w jakiś punkt przed sobą. Jeden z kelnerów zgasił kinkiety z lewej strony. Została już tylko plama żółtawego światła wokół baru. Z założonymi rękami, czekają. Spuszczą mu wycisk? Ale kto wie? Może Meinthe otwartą dłoń walczy w brudną ladę i z tym samym, co kiedyś gestem i wyzywającym śmiechem oświadczy: „Jestem królową Astrid, *królową Belgów!*”.

ROZDZIAŁ II

Cóż ja, osiemnastolatek, robiłem nad tym jeziorem, w tym znanym uzdrowisku? Nic. Mieszkałem w pensjonacie Pod Lipami na bulwarze Carabacel. Mogłem wynająć pokój na mieście, ale wolałem znaleźć się na wzgórzu, o dwa kroki od Windsoru, Hermitage’u i Alhambry, których wytworność i bujne ogrody działały na mnie uspokajająco.

Umierałem bowiem ze strachu – uczucia, które od tamtej pory nigdy mnie już nie opuściło, tyle że wtedy było znacznie bardziej dojmujące i irracjonalne. Uciekłem z Paryża, bo uznałem, że to miasto stało się zbyt niebezpieczne dla takich jak ja. Panowała w nim denerwująca, policyjna atmosfera. Zbyt wiele, jak na mój gust, łapanek. Wybuchaly bomby. Chciałbym to jakoś umiejscowić w czasie, a że najlepszym punktem odniesienia są wojny – o jaką więc wojnę chodziło? O wojnę zwaną algierską, na początku lat sześćdziesiątych, epokę, kiedy na Florydzie jeździło się kabrioletami, a kobiety fatalnie się ubierały. Mężczyźni zresztą też. Ja zaś bałem się, o wiele bardziej niż dzisiaj, a schroniłem się w tym miejscu, bo znajdowało się o pięć kilometrów od Szwajcarii. W razie jakiegokolwiek alarmu wystarczyło tylko przepłynąć jezioro. W naiwności swojej wierzyłem, że im bliżej Szwajcarii, tym większa szansa, by się uratować. Wtedy jeszcze nie wiedziałem, że Szwajcaria nie istnieje.

Sezon rozpoczynał się 15 czerwca. Jedna za drugą odbywały się kolejne gale i uroczystości. „Kolacja ambasadorów” w kasynie. Recital piosenek Georges’a Ulmera. Trzy przedstawienia *Słuchajcie uważnie, panowie*. Pokaz sztucznych ogni 14

lipca w klubie golfowym w Chavoires. Balety markiza Cuevasa oraz różne inne wydarzenia, które przypomniałbym sobie, gdybym mógł zajrzeć do programu imprez wydawanego przez ośrodek informacji turystycznej. Zachowałem go i jestem pewny, że znajdę go między stronami którejś z czytanych przeze mnie wtedy książek. Tylko której? Pogoda była „bajeczna”, a bywalcy przewidywali słońce aż do października.

Bardzo rzadko chodziłem popływać. Właściwie całe dni spędzałem w hallu i w ogrodach Windsoru, aż w końcu zdołałem sobie wmówić, że przynajmniej tutaj mi nic nie grozi. Kiedy ogarniała mnie panika – kwiat powoli rozchylający płatki nieco powyżej pępka – wpatrywałem się w przeciwległy brzeg jeziora. Z ogrodów Windsoru widać było jakieś miasteczko. Tylko pięć kilometrów w linii prostej. Odległość, którą można było przebyć nawet wplaw. W nocy małą motorówką zajęłoby to nie więcej niż dwadzieścia minut. Ależ tak. Próbowałem się uspokoić. Wyraźnie artykułując sylaby, powtarzałem szeptem: „W nocy małą motorówką...”. Nastrój mi się poprawiał, wracałem do lektury powieści czy jakiegoś nieszkodliwego czasopisma (zabroniłem sobie czytania gazet i słuchania wiadomości radiowych. Za każdym razem, idąc do kina, dbałem o to, by wejść po skończeniu kroniki). Byle tylko nie dowiedzieć się niczego o losach świata. Nie pogłębiać tego strachu, tego przecucia nieuchronnej katastrofy. Interesować się wyłącznie sprawami neutralnymi: modą, literaturą, kinem, musicalem. Wyciągnąć się na wielkim leżaku, zamknąć oczy, odprężyć się, zwłaszcza się odprężyć. Zapomnieć.

Późnym popołudniem schodziłem do miasta. Przysiadałem na ławce w alei Albigny i obserwowałem ożywienie panujące nad brzegiem jeziora, ruch małych żaglówek i rowerów wodnych. To działało na mnie kojąco. Górą osłaniały mnie korony platanów. Powolnym, statecznym krokiem ruszałem w dalszą drogę. Na tarasie Taverne na placu Pâquier wybierałem zawsze stolik na uboczu i zamawiałem campari z wodą sodową. I przyglądałem się wszystkim tym młodym ludziom wokół mnie; w końcu sam byłem jednym z nich. W miarę upływu czasu przybywało ich. Wciąż jeszcze słyszę ich śmiechy, widzę ich opadające na jedno oko kosmyki włosów. Dziewczęta ubrane były w rybaczkę lub szorty w kratkę vichy. Chłopcy chętnie nosili blezery z monogramem i rozpięte koszule z fularem pod szyją. Włosy mieli krótkie, ostrzyżone na „miskę”, jak nazywano wtedy tę fryzurę. Skrzykiwali się na prywatki.

Dziewczęta przychodziły na nie w marszczonych w tali sukienkach i w balerinkach. Mądra, romantyczna młodzież, którą poślą do Algierii. Ale nie mnie.

O dwudziestej wracałem na kolację Pod Lipy. Pensjonat, którego wygląd kojarzył mi się z pawilonem myśliwskim, przyjmował każdego lata około dziesięciorga stałych gości. Wszyscy oni mieli dobrze ponad sześćdziesiątkę i początkowo moja obecność ich irytowała. Ale zachowywałem się bardzo dyskretnie. Oszczędne gesty, rozmyślnie zgaszone spojrzenie, nieruchoma twarz – starać się jak najrzadziej mrugać powiekami: robiłem wszystko, by nie pogarszać już i tak drażliwej sytuacji. Wyczuwali moją dobrą wolę i myślę, że w końcu zaczęli traktować mnie nieco przychylniej.

Posiłki spożywaliśmy w jadalni urządzonej w stylu sabaudzkim. Mógłbym się wdać w rozmowę z moimi najbliższymi sąsiadami, starszym, zadbanym małżeństwem z Paryża, lecz z pewnych aluzji wywnioskowałem, że mężczyzna jest byłym komisarzem policji. Inni również zasiadali do stołu parami, z wyjątkiem pewnego pana z cienkim wąsikiem i miną porzuconego spaniela. Poprzez gwar rozmów słyszałem, jak chwilami wydaje z siebie krótkie czknięcia przypominające poszczekiwanie psa. Potem goście przechodzili do salonu i z westchnieniem rozsiadali się na obitych kretonem fotelach. Właścicielka pensjonatu, pani Buffaz, serwowała im ziółka lub coś na trawienie. Kobiety gawędziły we własnym gronie. Mężczyźni zasiadali do partyjki kanasty. Pan z miną spaniela, smutno zapaliwszy hawanę, siedział z boku i obserwował ich grę.

Chętnie bym z nimi został, w tym łagodnym i kojącym świetle lamp o jedwabnych, łososiowych abażurach, ale wtedy musiałbym z nimi rozmawiać albo grać w kanastę. Może zresztą nie mieliby nawet nic przeciwko temu, żebym tak po prostu sobie siedział, nic nie mówiąc i patrząc na nich? Znowu schodziłem do miasta. Dokładnie o dwudziestej pierwszej piętnaście – zaraz po kronice – wchodziłem do sali Régenta lub szedłem do bardziej eleganckiego i wygodniejszego kina Casino. Znalazłem program filmów wyświetlanych tamtego lata w kinie Régent.

15–23 czerwca:

Czuła i gwałtowna Elisabeth, reż. H. Decoin

24–30 czerwca:

Zeszłego roku w Marienbadzie, reż. A. Resnais

1–8 lipca:

R.P.Z. wzywa Berlin, reż. R. Hebib

9–16 lipca:

Testament Orfeusza, reż. J. Cocteau

17–24 lipca:

Kapitan Fracasse, reż. P. Gaspard-Huit

25 lipca–2 sierpnia:

Kim pan jest, panie Sorge?, reż. Y. Ciampi

3–10 sierpnia:

Noc, reż. M. Antonioni

11–18 sierpnia:

Świat Suzie Wong

19–26 sierpnia:

Błędne koło, reż. M. Pecas

27 sierpnia–3 września:

Las kochanków, reż. C. Autant-Lara

Chętnie bym jeszcze raz obejrzał niektóre obrazy z tych starych filmów.

Po kinie znowu szedłem na campari do Taverne. Nie było już w niej młodzieży. Północ. O tej porze pewnie gdzieś tańczą. Patrzyłem na te puste krzesła, stoliki, kelnerów składających parasole. Wpatrywałem się w wielką podświetloną fontannę po drugiej stronie placu, przed wejściem do kasyna. Wciąż zmieniała kolor. Bawiło mnie liczenie, ile razy będzie zielony. W końcu to też jakiś sposób na zabicie czasu, prawda? Raz, dwa razy, trzy. Kiedy dochodziłem do pięćdziesięciu trzech, wstawałem, ale najczęściej nawet nie zadawałem sobie trudu, żeby się w to bawić. Popijając campari małymi, machinalnymi łykami, oddawałem się marzeniom. Pamiętacie Lizbonę w czasie wojny? Wszystkich tych facetów siedzących ze swoimi walizkami i kuframi podróżnymi w barach i w hallu hotelu Aviz i czekających na statek, który nigdy nie przypłynie? No więc dwadzieścia lat później czułem się tak,

jakbym sam był jednym z nich.

W tych rzadkich wypadkach, kiedy wkładałem flanelowy garnitur i jedyny w moim posiadaniu krawat (ciemnogrnatowy, ze wzorem w lilie, prezent od pewnego Amerykanina; na odwrocie wyhaftowane były słowa International Bar Fly. Potem dowiedziałem się, że to nazwa tajnego stowarzyszenia alkoholików. Dzięki takiemu krawatowi rozpoznawali się i mogli wyświadczać sobie wzajem różne drobne przysługi), zachodziłem czasami do kasyna, gdzie na chwilę przystawałem w progu sali Brummel, by popatrzeć na tańczących. Byli w wieku między trzydzieści i sześćdziesiąt lat; czasami widywało się jakąś młodszą dziewczynę w towarzystwie smukłego pięćdziesięciolatka. Międzynarodowa, szykowna klientela, kołysząca się w rytm włoskich przebojów i tego tańca rodem z Jamajki, calypso. Potem szedłem na górę do sal, w których grano, i to często o wysokie stawki. Najostrzejsi gracze pochodzili z pobliskiej Szwajcarii. Pamiętam pewnego sztywnego Egipcjanina o lśniących rudych włosach i oczach gazeli, który z namysłem gładził swój wąsik brytyjskiego majora. Grał pięciomilionowymi żetonami i mówiono, że jest kuzynem króla Faruka.

Czułem ulgę, znalazłszy się znowu na świeżym powietrzu. Aleją Albigny powolnym krokiem wracałem na Carabacel. Nigdy dotąd nie widziałem równie pięknych, równie krystalicznych nocy co tamtego lata. W migotliwym, oślepiającym blasku świateł willi nad jeziorem było coś z muzyki, co kojarzyło mi się z solówką saksofonu lub trąbki. Wyczuwałem też leciuteńki, nierealny szelest liści platanów w alei. Siadałem na metalowej ławce w góralskiej chacie i czekałem na ostatnią kolejkę. W sali paliła się tylko jedna lampka; wślizgiwałem się w ten fiołkowy półmrok w poczuciu całkowitego bezpieczeństwa. Bo i czego miałbym się obawiać? Żeby do tej wakacyjnej oazy mógł dotrzeć zgiełk wojen i zamęt świata, musiałby wpierw przeniknąć przez ścianę waty. A zresztą, komu przyszłoby do głowy szukać mnie akurat tutaj, pośród tych eleganckich letników?

Na pierwszej stacji, Saint-Charles-Carabacel wysiadałem i potem kolejka jechała już pusta. Wyglądała jak wielki, lśniący robak.

W korytarzu pensjonatu zdejmowałem buty i dalej przemykałem już na palcach,

gdyż starcy mają lekki sen.

ROZDZIAŁ III

Siedziała na jednej z rozłożystych kanap w hallu Hermitage’u i nie spuszczała wzroku z drzwi obrotowych, jakby na kogoś czekała. Zajmowałem fotel kilka metrów dalej i widziałem ją z profilu.

Kasztanowe włosy. Sukienka z zielonego szantungu. I pantofle na szpilkach. Białe.

U jej stóp leżał pies. Ziewał i od czasu do czasu przeciągał się. Olbrzymi, flegmatyczny dog niemiecki w czarno-białe łaty. Zielony, rudy, biały, czarny. Ta kombinacja kolorystyczna przyprawiała mnie o rodzaj odrętwienia. Jak to się stało, że nagle wylądowałem obok niej na kanapie? Może pośrednikiem między nami stał się dog niemiecki, podchodząc leniwym krokiem, żeby mnie obwąchać?

Zauważyłem, że miała zielone oczy, delikatne piegi i była trochę ode mnie starsza.

Tamtego ranka przechadzaliśmy się po hotelowych ogrodach. Przed nami kroczył pies. Szliśmy aleją pod sklepieniem z klematisów o wielkich liliowych i błękitnych kwiatach, rozchylałem kiści listowia szczodrzeńca, spacerowaliśmy wzdłuż trawników i szpalerów ligustru. Były tam też, jeśli dobrze pamiętam, jakieś rośliny skalne, które wyglądały jak pokryte szronem, różowe głogi, schody obramowane pustymi kamiennymi wazami. I olbrzymi dywan żółtych, czerwonych i białych dalii. Wychylając się przez balustradę, patrzyliśmy na jezioro w dole.

Nigdy nie dowiedziałem się, co tak naprawdę o mnie pomyślała podczas tego pierwszego spotkania. Może wzięła mnie za znudzonego milionerskiego synalka? W każdym razie rozbawił ją monokl, który nosiłem w prawym oku; nie przez

dandyzm czy afektację, ale dlatego, że na to oko widziałem o wiele gorzej niż na drugie.

Milczymy. Słyszę szum zraszacza ogrodowego, który obraca się na środku najbliższego trawnika. Naprzeciwko nas schodzi po schodach jakiś mężczyzna, którego bladożółty garnitur dostrzegłem już z daleka. Macha do nas ręką. Jest w okularach przeciwsłonecznych i ociera czoło. Dziewczyna przedstawia mi go: René Meinthe. Ten natychmiast ją poprawia: doktor Meinthe, z naciskiem na obie sylaby słowa „doktor”. I wykrzywia twarz w uśmiechu. Teraz ja się przedstawiam: Victor Chmara. Pod tym nazwiskiem wypełniłem kartę hotelową Pod Lipami.

– Jest pan przyjacielem Yvonne?

Na co ona odpowiada, że przed chwilą poznaliśmy się w hallu Hermitage’u i że do czytania używam monokla. Najwyraźniej bardzo ją to bawi. Prosi mnie o założenie monokla, żeby doktor Meinthe mógł to zobaczyć. Spełniam jej prośbę.

– Znakomicie – mówi Meinthe, w zamyśleniu kiwając głową.

Miała więc na imię Yvonne. Ale nazwisko? Wyleciało mi z pamięci. Wystarczy zatem dwanaście lat, byśmy zapomnieli personalia osób, które liczyły się w naszym życiu. Było to jakieś przyjemne, typowo francuskie nazwisko, coś w rodzaju Coudreuse, Jacquet, Lebon, Mouraille, Vincent, Gerbault...

Na oko René Meinthe wyglądał na starszego od nas. Jakieś trzydzieści lat. Średniego wzrostu, okrągła, nerwowa twarz, jasne, zaczesane do tyłu włosy.

Wróciliśmy do hotelu przez tę część ogrodu, której jeszcze nie znałem. Wysypane żwirem alejki były tu proste, trawniki symetryczne i przystrzyżone na modłę angielską. Wokół każdego z nich jarzyły się ogniście rabaty begonii lub geranium. I wciąż ten łagodny, kojący szum wodotrysków zraszających murawę, który przypominał mi Tuileries mojego dzieciństwa. Meinthe zaproponował, żebyśmy się czegoś napili, a potem zjedli lunch w Sportingu.

Moją obecność oboje zdawali się uważać za rzecz całkiem naturalną, tak jakbyśmy się znali od zawsze. Yvonne uśmiechała się do mnie. Rozmawialiśmy o błahostkach.

O nic mnie nie pytali i tylko pies, oparłszy łeb na moim kolanie, przyglądał mi się z uwagą.

Yvonne wstała, mówiąc, że idzie do pokoju po szal. Mieszkała więc w Hermitage'u? Co tu robiła? Kim była? Meinthe przygryzał cygarniczkę, którą wyjął z kieszeni. I wtedy zauważyłem, że przebiegały go całego nerwowe tiki. Co jakiś czas kurczył mu się lewy policzek, jakby próbował przytrzymać wypadający mu z oka niewidzialny monokl, tyle że ciemne okulary częściowo ten skurcz maskowały. Niekiedy wysuwał do przodu podbródek takim gestem, jakby kogoś prowokował. Wreszcie od czasu do czasu jego prawym ramieniem wstrząsał elektryczny dreszcz, który udzielał się dłoni, ta zaś kreśliła w powietrzu dziwne arabeski. Wszystkie te tiki współgrały z sobą nader harmonijnie, przydając Meinthe'owi swoistej niepokojącej elegancji.

– Przyjechał pan na wakacje?

Odparłem, że tak. I że mam szczęście, iż jest tak „słoneczna” pogoda. I że uważam to letnisko za „istny raj”.

– To jest pan tu pierwszy raz? Nigdy wcześniej pan tu nie był?

Wyczułem w jego głosie szczyptę ironii i wtedy ja z kolei zaryzykowałem pytanie, czy on również spędza tu wakacje. Zawahał się.

– Och, niezupełnie. Ale znam to miejsce od bardzo, bardzo dawna... – niedbałym gestem wyciągnął ramię, wskazując jakiś punkt na horyzoncie, i znużonym głosem powiedział: – Te góry... Jezioro... Jezioro...

Zdjął ciemne okulary i posłał mi łagodne, smutne spojrzenie. Uśmiechnął się.

– Yvonne to cudowna dziewczyna – oświadczył. – Cu-dow-na.

Zbliżała się do naszego stolika w zielonym muślinowym szalu wokół szyi. Uśmiechała się, nie odrywała ode mnie oczu. Poczułem, jak coś rozpiera mi klatkę piersiową z lewej strony, i uznałem, że jest to najpiękniejszy dzień mojego życia.

Wsiadliśmy do samochodu Meinthe'a, starego kremowego dodge'a z odkrytym dachem. Usadowiliśmy się w trójkę na przednim siedzeniu, Meinthe za kierownicą, pośrodku Yvonne, a z tyłu pies. Meinthe ostro ruszył, dodge wpadł w poślizg na żużlu

i o mało nie zawadził o bramę wjazdową hotelu. Powoli zjeżdżaliśmy bulwarem Carabacel. Nie słyszałem silnika; może Meinthe go wyłączył i toczyliśmy się na wolnym biegu? Przez korony pinii rosnących po obu stronach drogi prześwitywały promienie słońca. Meinthe pogwizdywał. Poddawałem się lekkiemu kołysaniu samochodu, a na każdym zakręcie Yvonne opierała głowę na moim ramieniu.

Byliśmy jedynymi gośćmi w restauracji Sportingu, która mieściła się w dawnej oranżerii, osłoniętej przed słońcem wierzwą płaczącą i kępami rododendronów. Meinthe tłumaczył Yvonne, że musi jechać do Genewy, ale wieczorem wróci. Myślałem, że są rodzeństwem. Ale nie. Nie byli do siebie ani trochę podobni.

Do sali weszła grupa około dziesięciu osób. Usiedli przy sąsiednim stoliku. Wracali z plaży. Kobiety miały na sobie marynarskie bluzy frotté, mężczyźni płaszcze kąpielowe. Jeden z nich, wyższy od pozostałych i bardziej atletyczny, o jasnych kręconych włosach, rozmawiał z kimś na stronie. Meinthe zdjął ciemne okulary, gwałtownie pobladł. Wskazując palcem na wysokiego blondyna, piskliwym głosem niemal wysyczał:

– No proszę, jest i Carltonka... Największa *zdzira* w całej okolicy...

Tamten udawał, że nie tego nie usłyszał, ale jego znajomi odwrócili się do nas zaszokowani.

– Słyszałeś, co powiedziałem, Carltonko?

Na kilka sekund w sali zapanowała grobowa cisza. Atletyczny blondyn spuścił głowę. Jego towarzysze siedzieli jak skamieniali. Na Yvonne nie zrobiło to natomiast najmniejszego wrażenia, tak jakby zdążyła już przywyknąć do takich incydentów.

– Proszę się nie bać – szepnął Meinthe, nachylając się do mnie. – Nic się nie stało, nic a nic...

Twarz miał teraz gładką, dziecinną, nie znać było na niej już żadnego tiku. Podjęliśmy rozmowę; zapytał Yvonne, co ma jej przywieźć z Genewy. Czekoladki? Tureckie papierosy?

Przed bramą Sportingu rozstał się z nami, mówiąc, że moglibyśmy spotkać się w hotelu koło dziewiątej wieczorem. Rozmawiali z Yvonne o jakimś Madei (lub

Madeyi), który organizował przyjęcie w willi nad jeziorem.

– Pojedzie pan z nami, prawda? – spytał mnie.

Patrzyłem, jak idzie do swojego dodge'a, niczym popychany naprzód serią wstrząsów elektrycznych. Ruszył ostro i znów, jak poprzednim razem, samochód, zanim zniknął nam z oczu, otarł się o bramę wjazdową. Meinthe pomachał nam, nie odwracając głowy.

Zostaliśmy sami. Yvonne zaproponowała, żebyśmy pospacerowali po ogrodach kasyna. Przodem szedł pies. Był coraz bardziej znużony. Od czasu do czasu przysiadł pośrodku alei i trzeba go było przywoływać: „Oswald!”, żeby zechciał ruszyć dalej. Yvonne wyjaśniła, że to nie lenistwo, lecz melancholia była powodem jego opieszałości. Oswald należał do pewnej bardzo rzadkiej odmiany dogów niemieckich, z których wszystkie cierpiały na wrodzoną chandrę i znużenie życiem. Niektóre popełniały nawet samobójstwo. Chciałem się dowiedzieć, dlaczego wybrała psa o tak posępnym usposobieniu.

– Ponieważ te są bardziej eleganckie od innych – odparła żywo.

A ja od razu pomyślałem o Habsburgach, wśród których też spotykało się jednostki tak subtelne i hipochondryczne jak ten pies. Składano to na karb małżeństw między zbyt bliskimi krewnymi, a ich stany depresyjne nazywano „portugalską melancholią”.

– Ten pies – powiedziałem – cierpi na „portugalską melancholię”.

Ale nie usłyszała.

Doszliśmy nad przystań. Na pokład Admirala Guisanda wsiadało około dziesięciu osób. Podniesiono kładkę. Oparte o parapet burty dzieci krzyczały i wymachiwały rękami. Oddalający się od brzegu statek miał w sobie jakiś spłowiwały, kolonialny urok.

– Któregoś popołudnia – powiedziała Yvonne – popłyniemy tym statkiem. To będzie zabawne, nie uważasz?

Po raz pierwszy zwróciła się do mnie per ty i wypowiedziała te słowa w jakimś niezrozumiałym dla mnie uniesieniu. Kim była? Nie miałem odwagi jej o to zapytać.

Ruszyliśmy dalej aleją Albigny. Korony platanów użyczały nam cienia. Byliśmy

sami. Pies wyprzedzał nas o dobre dwadzieścia metrów. Nie było w nim już śladu zwykłej ospałości; kroczył teraz dumnie, z podniesionym łbem, niekiedy zbaczając nagle z drogi i kreśląc figury kadryla na podobieństwo koni cugowych.

Usiedliśmy, czekając na kolejkę. Yvonne oparła mi głowę na ramieniu i znowu poczułem ten sam zawrót głowy co wtedy w samochodzie, kiedy zjeżdżaliśmy bulwarem Carabacel. Wciąż słyszałem, jak mówi: „któregoś popołudnia... popłyniemy... statkiem... zabawne, nie uważasz?”, tym swoim trudnym do określenia akcentem: angielskim? węgierskim? a może sabaudzkim? Kolejka powoli jechała w górę, a roślinność po obu stronach jej trasy sprawiała wrażenie coraz gęstszej. Tylko patrzeć, jak bez reszty nas pochłonie. Na szybach rozpląszczały się całe kiście kwiatów, od czasu do czasu przywierała do nich róża lub gałązka ligustru.

Okno w jej pokoju w Hermitage’u było uchylone; słyszałem przez nie regularny stukot piłeczek tenisowych, dalekie okrzyki graczy. Skoro wciąż jeszcze istnieli sympatyczni, kojący głupcy w białych strojach przerzucający piłki nad siatką, znaczyło to, że ziemia nadal się kręci i że mamy przez sobą jeszcze kilka godzin wytchnienia.

Jej skóra usiana była delikatnymi piegami. A w Algierii podobno trwa wojna.

Noc. I Meinthe, który czekał na nas w hallu. Miał na sobie biały lniany garnitur i nieskazitelnie zawiązany pod szyją turkusowy fular. Przywiózł z Genewy papierosy i namawiał, żebyśmy na próbę zapalili.

– Tylko że nie mamy ani chwili do stracenia – mówił – bo inaczej do Madei (lub Madeyi) przyjedziemy spóźnieni.

Tym razem zjechaliśmy bulwarem Carabacel błyskawicznie. Meinthe, z cygarniczką w zębach, dodawał na zakrętach gazu i sam nie wiem, jakim cudem cali i zdrowi zdołaliśmy dotrzeć do alei Albigny. Spojrzałem na Yvonne, z zaskoczeniem stwierdzając, że na jej twarzy nie było znać cienia strachu. A nawet w momentach, gdy samochodem gwałtownie zarzucało, śmiała się.

Kim był ów Madeja (lub Madeya), do którego jechaliśmy? Meinthe wyjaśnił mi,

że to austriacki filmowiec. Niedawno w tych okolicach – a konkretnie w La Clusac, miejscowości narciarskiej leżącej dwadzieścia kilometrów stąd – nakręcił film, w którym zagrała Yvonne. Zabiło mi serce.

– Gra pani w filmie? – spytałem.

Roześmiała się.

– Yvonne będzie wielką aktorką – oświadczył René Meinthe, cisnąc gaz do deski.

Mówił to poważnie? *Aktorka filmowa*. Może nawet widziałem jej fotosy w „Cinémone”, albo w tym „Roczniku Filmowym”, który wyszperałem w pewnej starej księgarni w Genewie i który wertowałem w bezsenne noce. Tak często, że w końcu potrafiłem wymienić z pamięci nazwiska i adresy aktorów oraz „pracowników ekipy technicznej”. Niektóre pamiętam do dziś:

Junie Astor, fot. Bernard i Vauclair, – 1, rue Buenos-Aires, Paris VII

Sabine Guy, fot. Teddy Piaz – Komedia, kursy śpiewu, taniec.

Filmy: *Les Clandestins*, *Les pépées font la loi*, *Miss Catastrophe*, *La Polka des menottes*, *Bonjour toubib* i inne.

Gordine (Films Sacha), 19, rue Spontini, Paris XVI, tel. KLE 77 – 94

Pan Sacha Gardine...

Może Yvonne miała jakiś znany mi „pseudonim sceniczny”? Gdy ją o to zapytałem, z palcem na ustach szepnęła: „To tajemnica”, zaś Meinthe z piskliwym, niepokojącym śmiechem dorzucił:

– Rozumie pan, Yvonne jest tu *incognito*.

Jechaliśmy drogą biegnącą brzegiem jeziora. Meinthe zwolnił i włączył radio. Powietrze było ciepłe, sunęliśmy przez noc tak jasną i jedwabistą, jakiej nie spotkałem już nigdy potem, chyba że w Egipcie lub na Florydzie z moich marzeń. Pies oparł mi łeb na ramieniu i grzał mnie swoim gorącym oddechem. Po prawej stronie ogrody schodziły aż do jeziora. Za Chavoire wzdłuż szosy rosły szpalery pinii i palm.

Minęliśmy miasteczko Veyrier-du-Lac i znaleźliśmy się na drodze prowadzącej w dół. Napis na drewnianej tablicy przy bramie wjazdowej głosił: „Willa pod Lipami” (tak samo nazywał się mój pensjonat). Szeroka aleja żwirowa, okolona szpalerem drzew i chaszczami wiodła aż po próg domu – wielkiej, białej budowli w stylu

Napoleona III, z różowymi okiennicami, przed którą parkowało kilka samochodów. Minąwszy przedsionek, znaleźliśmy się w pomieszczeniu będącym chyba salonem. W przytłumionym świetle dwóch czy trzech lamp ujrzałem z dziesięć osób; jedni stali przy oknie, inni rozpierali się na białej kanapie – jedynym tu, jak mi się zdawało, meblu. Napełniając sobie kieliszki, prowadzili ożywione rozmowy po niemiecku i francusku. Z ustawionego na podłodze adapteru płynęła powolna melodia, w którą wplatał się niski głos piosenkarza, powtarzający:

Oh, Bionda girl,

Oh, Bionda girl...

Bionda girl...

Yvonne ujęła mnie pod ramię. Meinthe rzucał wkoło szybkie spojrzenia, jakby kogoś szukał, ale nikt z obecnych nie zwracał na nas najmniejszej uwagi. Przez drzwi balkonowe wyszliśmy na werandę okoloną zieloną drewnianą balustradą. Stały na niej leżaki i wiklinowe fotele. Światło chińskiego lampionu rozsiewało wokół skomplikowane cienie w kształcie zawiłych koronkowych esów-floresów, w których twarze Yvonne i Meintha wyglądały jak okryte woalką.

Niżej, w ogrodzie, wokół bogato zaopatrzonego bufetu tłoczyło się mnóstwo osób. Jakiś rosy, jasnowłosy mężczyzna pomachał do nas ręką i wsparty o laskę, ruszył w naszą stronę. Jego szeroko rozpięta, beżowa płócienna koszula przypominała saharyjkę; pomyślałem o wszystkich tych oryginałach spotykanych niegdyś w koloniach, ludziach „z przeszłością”. Meinthe przedstawił mi go: Rolf Madeja, reżyser. Madeja nachylił się, żeby pocałować Yvonne, i położył dłoń na ramieniu Meinthe’a. Mówił na niego „Menthe”, z akcentem brytyjskim bardziej niż niemieckim. Pociągnął nas w stronę bufetu, a ta jasnowłosa, równie jak on wysoka kobieta, ta walkiria o rozmytym spojrzeniu (wpatrywała się w nas niewidzącym wzrokiem, czy może przyglądała się czemuś wskroś nas) była jego żoną.

Zostawiwszy Meinthe’a w towarzystwie młodzieńca o aparycji alpinisty, przechodziliśmy z Yvonne od grupy do grupy. Z wszystkimi się całowała, a na pytanie, kim jestem, odpowiadała: „Przyjaciel”. Jeśli dobrze zrozumiałem, większość

tych osób wystąpiła w „filmie”. Rozproszyli się teraz po ogrodzie. W świetle księżycy wszystko było widać jak na dłoni. Spacerując po zarośniętych trawą ścieżkach, w pewnym momencie natknęliśmy się na niesamowitej wielkości cedr. Pod murem opasującym ogród, zza którego dobiegał plusk fal jeziora, zatrzymaliśmy się na dłużej. Widać stąd było dom otoczony zapuszczonym parkiem; jego obecność w tym miejscu zaskakiwała, tak jakbyśmy nagle trafili do jednego z tych dawnych miast w Ameryce Południowej, w których rokokowy gmach opery, katedrę i pałace z kararyjskiego marmuru pochłonęła dziewicza dżungla.

Inni goście nie zapuszczali się tak daleko, z wyjątkiem dwóch czy trzech par, które korzystały z osłony nocy i gęstych zarośli. Reszta stała przed domem lub na tarasie. Dołączyliśmy do nich. Gdzie się podział Meinthe? Może był w środku, w salonie. Podszedł do nas Madeja i tym swoim na wpół brytyjskim, na wpół niemieckim akcentem zaczął tłumaczyć, że chętnie zostałby tu nawet dwa tygodnie dłużej, ale musi jechać do Rzymu. Mógłby wynająć willę jeszcze raz we wrześniu, „kiedy gotowy będzie montaż filmu”. Obejmuje Yvonne i nie wiem, czy ją obściskuje, czy też w jego geście jest coś ojcowskiego.

– Jest bardzo dobrą aktorką.

Przygląda mi się i widzę, jak jego spojrzenie staje się coraz bardziej zamglone.

– Nazywa się pan Chmara, prawda?

Nagle mgła rozproszyła się i jego oczy zaśniły zimnym niebieskim blaskiem.

– Chmara... Powiada pan Chmara, tak?

Półgębkiem odpowiadam, że tak. I znów jego spojrzenie traci ostrość, mętnieje i w końcu całkiem się rozmywa. Musi posiadać umiejętność dowolnego sterowania jego ostrością, tak jakby nastawiał lornetkę. Kiedy chce się skupić, jego oczy wilgotnieją, świat zewnętrzny staje się zaś jedynie zamazaną masą. Znam dobrze tę metodę, bo sam często ją stosuję.

– Był kiedyś w Berlinie taki jeden Chmara... – powiedział. – Prawda, Ilse?

Jego żona, wyciągnięta na leżaku po drugiej stronie werandy i rozmawiającą z dwójką młodych mężczyzn, odwróciła się z uśmiechem.

– Prawda, Ilse? Kiedyś był w Berlinie taki jeden Chmara.

Popatrzyła na niego, nie przestając się uśmiechać, a potem odwróciła głowę i podjęła przerwana rozmowę. Madeja wzruszył ramionami, zacisnął obie dłonie na lasce.

– Tak... Tak... Tamten Chmara mieszkał w Kaiser Allee... Nie wierzy mi pan, co?

Wstał, pogłodził Yvonne po twarzy i podszedł do balustrady z zielonego drewna. I stał tak, masywny, zapatrzony w skąpany w księżycowej poświacie ogród.

Siedzieliśmy obok siebie na dwóch pufach; opierała głowę na moim ramieniu. Jakaś młoda, ciemnowłosa kobieta w głęboko wyciętym gorsecie (z jego dekoltu przy każdym gwałtowniejszym ruchu wysuwały się jej piersi) wręczyła nam dwa kieliszki wypełnione różowym płynem. Głośno się śmiała, całowała Yvonne, błagała, żebyśmy wypili ten koktajl, który przygotowała „specjalnie dla nas”. Nazywała się, jeśli dobrze pamiętam, Daisy Marchi, i jak wyjaśniła mi Yvonne, to ona zagrała w filmie główną rolę. Jej również pisana była wielka kariera. Była już znana w Rzymie. Po chwili, zaśmiewając się i potrząsając długimi włosami, zostawiła nas i podeszła do jakiegoś mężczyzny, pięćdziesięciolatka o szczupłej sylwetce i dziobatej twarzy, który z kieliszkiem w dłoni stał oparty o framugę drzwi balkonowych. Był to jeden z aktorów, Harry Dressel, Holender. Inni goście siedzieli w wiklinowych fotelach lub stali przy balustradzie. Kilka osób otaczało żonę Madei, nadal uśmiechającą się z nieobecny spojrzeniem. Przez drzwi balkonowe z salonu dobiegał szmer rozmów oraz powolna, ckliwa melodia, tyle że teraz niski głos piosenkarza powtarzał:

Abat-jour

Che sofonde la luce blu...

Po trawniku przechadzał się Madeja w towarzystwie jakiegoś łysego człowieczka, który sięgał mu do pasa, tak że mówiąc do niego, musiał się nachylać. Spacerowali przed tarasem tam i z powrotem, Madeja coraz bardziej ociężały i zgarbiony, jego rozmówca coraz wyżej wspinający się na palce i wydający z siebie dźwięki przypominające buczenie trzmiela. Jedyne słowa, jakie wypowiadał w ludzkim języku, były: „Va bene, Rolf... Va bene, Rolf... Va bene, Rolf... Vabenerolf...”. Pies Yvonne, siedząc w pozie sfinksa na skraju tarasu, śledził wzrokiem ich wędrówkę w tę

i z powrotem, obracając głowę to w prawo, to w lewo.

Gdzie byliśmy? W samym sercu Górnej Sabaudii. Na próżno jednak powtarzałem sobie te kojące słowa: „W samym sercu Górnej Sabaudii”, miejsce kojarzyło mi się bardziej z jakimś krajem kolonialnym lub karaibskimi wyspami. Bo jak inaczej wytłumaczyć to łagodne, przenikliwe światło, ten granatowy błękit, który sprawiał, że oczy, skóra, suknie i alpakowe garnitury zdawały się fosforyzować? Wszystkich tych ludzi spowijała jakaś tajemnicza, elektryzująca aura; wydawało się, że każdy ich gest w każdej chwili może spowodować zwarcie. Ich nazwiska – niektóre zapamiętałem i żałuję, że nie zachowałem w pamięci wszystkich; wieczorami, przed zaśnięciem powtarzałem je sobie, nie wiedząc, do kogo należały, wystarczyłoby mi samo ich brzmienie – ich nazwiska przywodziły na myśl owe małe, kosmopolityczne społeczności z portów wolnoctwowych i zamorskich faktorii: Gay Orloff, Percy Lippitt, Osvaldo Valenti, Ilse Körber, Roland Witt von Nidda, Geneviève Bouchet, Geza Pellemont, François Burnhardt... Jak potoczyły się ich losy? Co mam im powiedzieć, wskrzeszając ich na okoliczność tego spotkania? Już wtedy, a niedługo minie trzynaście lat, sprawiali na mnie wrażenie ludzi od dawna wypalonych. Obserwowałem ich, słuchałem ich rozmów w świetle chińskiego lampionu, który pokrywał cętkami twarze i ramiona kobiet. Każdemu z nich przypisywałem przeszłość, splatającą się z przeszłością pozostałych, chciałem, by ujawnili przede mną wszystko: kiedy Percy Lippitt i Gay Orloff spotkali się po raz pierwszy? Czy któreś z nich znało Osvalda Valentiego? Za czyim pośrednictwem Madeja nawiązał znajomość z Geneviève Bouchet i François Burnhardtem? Która z tych sześciu osób wprowadziła do ich grona Rolanda Witta von Niddę? (A wymieniam tylko tych, których nazwiska zapamiętałem). Tak wiele zagadek, dopuszczających nieskończoną ilość kombinacji; pajęczyna, której utkanie zajęło im dziesięć lub dwadzieścia lat.

Zrobiło się późno i zaczęliśmy się rozglądać za Meinthe'm. Nie było go w ogrodzie ani na tarasie, ani w salonie. Jego dodge znikł. Madeja, którego spotkaliśmy na ganku w towarzystwie jakieś młodej, krótkowłosej blondynki, powiedział, że „Menthe” przed chwilą wyjechał z „Fritzim Trenkerem” i że na pewno już nie wróci. Roześmiał się w sposób, który mnie zaskoczył, i położył dłoń na ramieniu dziewczyny.

– Podpora mojej starości – oświadczył. – Rozumie pan, Chmara?

I nagle się od nas odwrócił. Ruszył korytarzem, mocniej wsparłszy się na ramieniu dziewczyny. Wyglądał jak stary niewidomy bokser.

Od tego momentu sprawy przybrały całkiem inny obrót. W salonie pogaszono lampy. Paliła się tylko jedna lampka na kominku, której różowe światło wchłaniały rozległe strefy mroku. Głos włoskiego piosenkarza zastąpił teraz głos kobiety, tak łamiący się i chrypliwy, że słowa piosenki stawały się niezrozumiałe, że nie wiadomo było, czy to skarga konającego, czy pomruk rozkoszy. A potem nagle głos stawał się wyraźny i powracały te same słowa, powtarzane z łagodną modulacją.

Żona Madei leży w poprzek kanapy, zaś jeden z towarzyszących jej wcześniej na tarasie młodych mężczyzn nachyla się nad nią i powoli zaczyna jej rozpinąć bluzkę. Ona, z rozchylnymi ustami, wpatruje się w sufit. Kilka par, nieco zbyt ciasno w siebie wtulonych, tańczy, wykonując nieco zbyt precyzyjne ruchy. Przechodząc, widzę ciężką dłoń Harry’ego Dressela gładzącą udo Daisy Marchi. W pobliżu drzwi balkonowych uwagę grupki osób przykuwa widok samotnej tancerki. Kobieta powoli zdejmuje sukienkę, halkę, stanik. Nie mając nic innego do roboty, dołączyliśmy do grupki widzów. Roland Witt von Nidda, ze zmienioną twarzą, pożera wzrokiem tańczącą, teraz już tylko w pończochach i podwiązkach. Na kolanach próbuje zerwać podwiązki zębami, lecz ona wciąż mu się wymyka. Wreszcie sama postanawia je zdjąć i dalej, już całkiem naga, tańczy, krążąc wokół Witta von Niddy, ocierając się o niego, on zaś trwa nieruchomy, niewzruszony, z wysuniętym podbródkiem, z wypiętym torsem – groteskowy toreador. Na ścianę pada jego wykrzywiony cień, nienaturalnie powiększony cień kobiety omiata sufit. Wkrótce już cały dom wypełnia balet cieni, jednych ścigających drugie, biegających w górę i na dół po schodach, wybuchających śmiechem, wydających ukradkowe okrzyki.

Sąsiadujący z salonem narożny pokój. Znajdowało się w nim masywne biurko z mnóstwem szuflad w rodzaju tych, jakie pewnie widywało się w Ministerstwie Kolonii, oraz wielki ciemnozielony skórzany fotel. Tam się schroniliśmy. Obrzuciłem ostatnim spojrzeniem salon; wciąż jeszcze widzę odrzuconą w tył głowę żony Madei, opierającej kark o poręcz kanapy. Z tymi jasnymi włosami spływającymi do ziemi,

wyglądała, jakby jej ścięto głowę. Usłyszałem jej pojękiwanie. Obok jej twarzy niewyraźnie majaczyła jakaś inna twarz. Jęczała coraz głośniejszymi, wyrzucając z siebie bezładne okrzyki: „Zabijcie mnie... zabijcie mnie... zabijcie mnie...”. Tak, wszystko to pamiętam.

Podłogę gabinetu pokrywał gruby dywan, na którym się położyliśmy. Obok nas smuga księżycowego światła kreśliła biegnącą przez cały pokój szaroniebieską linię. Jedno z okien było uchylone i słyszałem przez nie szum drzewa i szelest jego liści pieszczotliwie muskających szybę. Ich cień pokrywał bibliotekę siatką nocy i księżyca. Na półkach biblioteki stał komplet tytułów z serii „Masque”.

Pies usnął pod drzwiami. Z salonu nie dobiegały już żadne hałasy, żadne głosy. Czyżby wszyscy się wynieśli i zostaliśmy w willi sami? Gabinet wypełniała woń starej skóry, a ja zastanawiałem się, kto ustawił na półkach wszystkie te książki. Do kogo należały? Kto przychodził tu wieczorem wypalić fajkę, popracować, może poczytać którąś z tych powieści lub posłuchać szelestu liści?

Jej skóra nabrała opalizującego odcienia. Na jej ramieniu liść wytatuował swój cień. Niekiedy cień przesunął się na twarz i wtedy wydawało się, że ma na niej czarną, aksamitną maseczkę. Cień schodził niżej i knebłował jej usta. Marzyłem, żeby nigdy nie nastał poranek, żebym mógł tak z nią zostać, wtulony w głębię tej ciszy i tego akwarycznego światła. Na krótko przed świtem usłyszałem trzaśnięcie drzwi, pospieszne kroki nad nami i hałas przewracanego mebla. A potem wybuchy śmiechu. Yvonne usnęła. Dog śnił, w regularnych odstępach czasu wydając z siebie głuchą skargę. Uchyliłem drzwi. Salon był pusty. Lampka nadal się paliła, ale jej światło było teraz blade, nie różowe już, a bladoseledynowe. Wyszedłem na taras, żeby zaczerpnąć powietrza. Tam również nie było nikogo. Palącym się nadal chińskim lampionem kołysał wiatr, rozsiewając na ścianach bolesne kształty, niektóre wyglądające zupełnie jak ludzkie. W dole rozciągał się ogród. Próbowałem zidentyfikować zapach wypełniający taras. Ależ tak – waham się to powiedzieć, bo byliśmy przecież w Górnej Sabaudii – zapach, który wdychałem, był wonią jaśminu.

Wróciłem do salonu. Lampka nadal leniwymi falami rozsiewała seledynowe światło. Przypomniało mi się morze i ten mroźny napój popijany w upalne dni:

diabolo menthe. Znów usłyszałem wybuchy śmiechu, zdumiewająco czyste. Dobiegały gdzieś z bardzo daleka, a potem nagle się przybliżyły. Nie umiałem ich zlokalizować. Stawały się coraz bardziej krystaliczne, coraz bardziej ulotne. Yvonne spała, oparta policzkiem o wyciągnięte do przodu prawe ramię. Błękitna smuga, którą w poprzek pokoju kreślił księżyc, oświetlała kącik jej ust, szyję, lewe udo i piętę. Wyglądało to jak zarzucona na jej plecy prostokątna chusta. Wstrzymałem oddech.

Znowu widzę kołyszące się za oknem liście i jej ciało przecięte wpół promieniem księżyca. Dlaczego w mojej pamięci na otaczający nas krajobraz Górnej Sabaudii nakłada się obraz miasta, którego już nie ma – przedwojennego Berlina? Czy dlatego, że zagrała w filmie Rolfa Madei? W późniejszym czasie zasięgnąłem języka na jego temat i dowiedziałem się, że w bardzo młodym wieku zadebiutował w studiach UFA. W lutym 1945 roku, w przerwach między bombardowaniami, zaczął kręcić swój pierwszy film, *Confettis für zwei*, bardzo wesołą i bardzo swawolną operetkę wiedeńską. Filmu nie skończył.

Ja zaś, wracając pamięcią do tej nocy, idę przed siebie wśród ciężkich kamienic niegdysiejszego Berlina, nieistniejącymi już dziś nadbrzeżami i bulwarami. Z Alexander-Platz maszeruję prosto, przechodzę przez Lust-Garden i na drugi brzeg Sprewy. Nad poczwórnym szpalerem lip i kasztanów zapada zmrok. Przejeżdżają tramwaje. Są puste. Migocą światła. A ty, ty czekasz na mnie w tej klatce zieleni, jaśniejszej na końcu alei – w zimowym ogrodzie hotelu Adlon.

ROZDZIAŁ IV

Meinthe uważnie przyglądał się mężczyźnie w trenczu, aż ten w końcu spuścił głowę i z powrotem zajął się swoją pracą. On jednak stał przed nim nadal, nieporuszony, zastygły w szyderczej pozie na baczość. A potem odwrócił się do dwóch pozostałych, którzy opierając brody o końce kijów od szczotek, przyglądali mu się ze złośliwym uśmieszkiem. Byli do siebie uderzająco podobni: tak samo ostrzyżone na jeża włosy, taki sam mały wąsik, takie same wyłupiaste niebieskie oczy. Przechylali się tułowiem jeden w prawą, drugi w lewą stronę do tego stopnia symetrycznie, że można by ich wziąć za jedną osobę i jej lustrzane odbicie. I Meinthe musiał ulec temu złudzeniu, gdyż zmarszczywszy brwi, jął z wolna przesuwając się w ich stronę. Gdy był już w odległości kilku centymetrów od nich, przesunął się, żeby przyjrzeć im się od tyłu, pod kątem trzech czwartych, z profilu. Stali nieruchomo, lecz wyczuwało się, że w każdej chwili gotowi są odprężyć się i powalić Meinthe gradem ciosów. Meinthe odsunął się i nie spuszczać z nich wzroku, tyłem wycofał się do wyjścia z bufetu. Tamci stali w skąym żółtawym świetle ściennego kinkietu nieruchomi jak posągi.

Przechodzi przez plac de la Gare z podniesionym kołnierzem marynarki, zaciskając lewą rękę na szaliku, jakby był ranny w szyję. Prószy śnieg. Jego płatki są tak lekkie i drobne, że wirują w powietrzu. Potem skręca w ulicę Sommeiller i zatrzymuje się przed Régentem. Dają w nim stary film zatytułowany *La dolce vita*. Chroni się pod daszkiem kina i jeden po drugim ogląda fotosy filmowe, wyjmując z kieszeni cygarniczkę. Przygryza ją, jednocześnie przetrząsając pozostałe kieszenie

i szukając – zapewne – papierosa. Ale nie znajduje i wtedy jego twarz znów zaczyna przebiegać te same tiki: skurcz lewego policzka i urywane ruchy podbródka – wolniejsze i bardziej bolesne niż przed dwunastoma laty.

Zdaje się wahać, którą wybrać drogę: czy pójść ulicą Vaugelas, dochodzącą do ulicy Royale, czy dalej schodzić ulicą Sommeiller. Trochę niżej, po prawej stronie widać zielono-czerwony napis „Cintra”. Meinthe, mrużąc oczy, wpatruje się w niego. CINTRA. Wirujące wokół tych sześciu liter płatki śniegu przybierają również odcień zielono -czerwony. Zielony kolor absyntu. Czerwień campari.

Rusza w stronę tej oazy, zgarbiony, na sztywnych nogach i gdyby nie ten wysiłek woli, pewnie osunąłby się na chodnik jak zepsuta marionetka.

Klient w kraciatej marynarce wciąż tam jest, ale nie naprzykrza się już barmance. Siedzi przy stoliku w głębi sali i palcem wskazującym wybijając takt, powtarza cienkim jak u starej kobiety głosikiem: „I zim... bum-bum... I zim... bum-bum...”. Barmanka czyta jakieś pismo. Meinthe siada na jednym z wysokich stołków przy barze, kładzie jej dłoń na ramieniu i szeptem zamawia:

– Jasne porto, maleńka.

ROZDZIAŁ V

Wyprowadziłem się z pensjonatu Pod Lipami i zamieszkałem z nią w Hermitage’u.

Któregoś wieczoru Yvonne i Meinthe po mnie przyjechali. Byłem świeżo po kolacji i czekałem w salonie, siedząc obok pana z głową spaniela. Pozostali mężczyźni szykowali się do kanasty. Kobiety gawędziły z panią Buffaz. W drzwiach salonu stanął Meinthe. Miał na sobie jasnoróżowy garnitur i wetkniętą w kieszonkę marynarki ciemnozieloną chusteczkę.

Odwrócili się w jego stronę.

– Panie... Panowie... – skłaniając głowę, wymamrotał Meinthe. Następnie podszedł do mnie, wyprostował się: – Czekamy na pana. Może pan już kazać znieść swoje bagaże.

Pani Buffaz zapytała gwałtownie:

– To pan nas opuszcza?

Spuściłem oczy.

– Kiedyś musiało to nastąpić, proszę pani – odpowiedział za mnie Meinthe tonem nieznoszącym sprzeciwu.

– Ale mógł nas przynajmniej wcześniej o tym zawiadomić.

Uświadomiłem sobie, że ta kobieta zapalała do mnie nagłą nienawiścią i nie zawahałaby się pod byle pretekstem wydać mnie w ręce policji. Zrobiło mi się przykro.

– Pani – usłyszałem odpowiedź Meinthe’a – ten młody człowiek nic na to nie poradzi, otrzymał bowiem polecenie udania się z misją w imieniu królowej Belgów.

Tamci z kartami w dłoni wpatrywali się w nas oniemiałi. Moi sąsiedzi od stołu przyglądali mi się ze zdumieniem, a zarazem z niesmakiem, jakby raptem do nich dotarło, że nie należę do ludzkiej rasy. Wzmianka o królowej Belgów została przyjęta ogólnym pomrukiem i kiedy Meinthe, chcąc bez wątpienia stawić czoła opierającej się pani Buffaz, skrzyżował ramiona i skandując wyrazy, powtórzył: „Rozumie pani? *Królowej Belgów...*” – pomruk przybrał na sile, powodując w moim sercu bolesne ukłucie. A wtedy Meinthe tupnął nogą, wysunął do przodu podbródek i rzucił bez tchu, połykając wyrazy:

– Nie powiedziałem jeszcze wszystkiego, droga pani... *Królowa Belgów* to ja...

Rozległy się okrzyki i wrzawa oburzenia; większość pensjonariuszy wstała, zbijając się naprzeciwko nas we wrogą grupkę. Pani Buffaz postąpiła krok do przodu; przestraszyłem się, że spoliczkuje Meinthe’a albo mnie. To ostatnie wydało mi się zrozumiałe: czułem się jedynym winnym.

Chciałbym poprosić tych ludzi o wybaczenie, chciałbym, żeby dało się, jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki, wymazać z ich pamięci całe to zdarzenie. Wszelkie moje wysiłki, by nie rzucać się w oczy, zaszyć się w bezpiecznym miejscu, w ciągu zaledwie kilku sekund legły w gruzach. Zabrakło mi nawet odwagi, by spojrzeć po raz ostatni na salon, w którym chwile spędzane po kolacji tak kołły moje niespokojne serce. I przez moment poczułem żal do Meinthe’a. Po cóż wzbudzać konsternację u tych skromnych rentierów, tych graczy w kanastę? Ci ludzie dodawali mi otuchy. W ich towarzystwie nic mi nie groziło.

Pani Buffaz coraz mocniej zaciskała usta. Najchętniej zionęłaby nam jadem w twarz. Nie mam jej tego za złe. W pewien sposób ją zdradziłem. Zakłóciłem funkcjonowanie tego cennego mechanizmu, jakim był pensjonat Pod Lipami. Jeśli to przeczyta (w co wątpię, zresztą „Lipy” już i tak nie istnieją), to chciałbym, żeby wiedziała, iż nie byłem złym chłopcem.

Teraz należało znieść bagaże, które spakowałem po południu. Składały się z kufra podróżnego i trzech wielkich walizek. Było w nich trochę ubrań, wszystkie moje

książki, stare almanachy, numery „Matcha”, „Cinéma”, „Music-hall”, „Detektywa”, „Noir et blanc” z ostatnich lat. Wszystko to ważyło chyba z tonę. Meinthe, próbując przesunąć kufer, prawie został przez niego przygnieciony. Za cenę niewyobrażalnego wysiłku zdołaliśmy ustawić go poziomo. Potem blisko dwadzieścia minut zajęło nam przeciągnięcie go przez korytarz na podest schodów. Zgięci w pół, Meinthe z przodu, ja z tyłu, nie mogliśmy złapać tchu. Na podeście Meinthe padł za ziemię jak długi, rozrzucając w bok ramiona i zamykając oczy. Wróciłem do mojego pokoju, po czym chwiejnym krokiem udało mi się jakoś dotransportować wszystkie trzy walizy do szczytu schodów.

Zgasło światło. Po omacku odszukałem kontakt, ale na próżno go naciskałem; nadal było ciemno. Na dole przez uchylone drzwi salonu sączyło się nikłe światło. Zauważyłem czyjąś głowę wychylającą się przez szparę w drzwiach; była to, jestem prawie pewny, głowa pani Buffaz. Natychmiast zorientowałem się, że prawdopodobnie wykręciła jeden z bezpieczników, żebyśmy musieli znosić bagaże po ciemku. Wywołało to u mnie napad nerwowego, nieopanowanego śmiechu.

Przepchnęliśmy kufer tak, że połową zawisł nad schodami. Stał na pierwszym stopniu w stanie chwiejnej równowagi. Meinthe schwycił się poręczy i z całej siły go kopnął. Kufer poleciał w dół, podskakując na każdym stopniu z nieopisanym łomotem. Wydawało się, że jeszcze trochę i schody się zawałą. W drzwiach salonu znowu pojawiła się głowa pani Buffaz, a obok niej dwie czy trzy inne. Usłyszałem pisk: „Łobuzy...”. Ktoś świszczącym głosem powtarzał słowo „policja”. Złapałem dwie walizki i zacząłem schodzić. Nic nie widziałem. Zresztą i tak wolałem zamknąć oczy i po cichu, żeby dodać sobie odwagi, liczyłem: raz, dwa, trzy... Gdybym się potknął, walizy pociągnęłyby mnie na sam dół i pod wpływem szoku straciłbym przytomność. Nie wolno mi się zatrzymywać. Za chwilę pękną mi obojczyki. I na nowo brał mnie ten okropny, szaleńczy śmiech.

Znów rozblęskło światło, oślepiając mnie. Znajdowałem się na parterze, stojąc ogłupiały między dwiema walizkami i kufrem. Za mną schodził Meinthe z trzecią walizką (ta ważyła mniej, bo były w niej tylko przybory toaletowe). Sam nie wiem, skąd wzięłem tyle siły, by dotrzeć żywy do tego momentu. Pani Buffaz wręczyła mi rachunek, który uregulowałem, umykając w bok spojrzeniem. Potem weszła do salonu

i zatrzasnęła za sobą drzwi. Meinthe, oparty o kufer, zwiniętą chusteczką ocierał twarz krótkimi, precyzyjnymi ruchami pudrującej się kobiety.

– No dalej, staruszk... – powiedział, wskazując na bagaże. – Dalej...

Zaciągnęliśmy kufer na podjazd. Dodge stał zaparkowany pod bramą wjazdową pensjonatu. W półmroku dostrzegłem siedzącą z przodu Yvonne. Paliła papierosa i pomachała do nas ręką. Zdołaliśmy jakimś cudem wciągnąć kufer na tylne siedzenie. Meinthe opadł za kierowcę, a ja wróciłem do przedsionka pensjonatu po moje trzy walizki.

Obok recepcji tkwiła nieruchomo jakaś postać: był to pan z głową spaniela. Ruszył w moją stronę i przystanął. Widziałem, że chce mi coś powiedzieć, lecz nie mógł wykrztusić słowa. Pomyślałem, że może zaszczeka, że wyda z siebie długą, łagodną skargę, którą tylko ja bym usłyszał (reszta gości nadal grała w kanastę lub rozmawiała). Stał tak przede mną ze zmarszczonymi brwiami, z rozchyłonymi ustami, czyniąc coraz rozpaczliwsze wysiłki, by przemówić. A może poczuł mdłości i nie mógł zwymiotować? Nachylał się, prawie dławił. Po chwili opanował się jednak i głuchym głosem powiedział: „Wyjeżdża pan w samą porę. Do widzenia”.

Wyciągnął do mnie rękę. Miał na sobie grubą tweedową marynarkę i beżowe płócienne spodnie. Ogromnie podobały mi się jego buty: z szarawego zamszu, na bardzo, bardzo grubych podszewkach ze słoniny. Byłem pewien, że już kiedyś, jeszcze przed moim przyjazdem Pod Lipy, spotkałem tego człowieka i że musiało to być dawno, dobre dziesięć lat temu. Aż nagle... Ależ oczywiście, to były te same buty, a mężczyzna wyciągający do mnie dłoń był tym samym, który tak mnie intrygował w czasach mojego dzieciństwa. W każdy czwartek i w każdą niedzielę przychodził do Tuileries z miniaturowym stateczkiem (wierną kopią Kon-Tiki) i przyglądał się, jak jego stateczek pływa po basenie, zmieniając punkty obserwacji, popychając go laską, gdy ten utknął przy kamiennym obmurowaniu, sprawdzając solidność masztu lub żagla. Czasami manewry te śledziła grupka dzieci – niekiedy nawet kilkoro dorosłych, on zaś zerkał na nich ukradkiem, jakby niepewny ich reakcji. Wypytywany o stateczek, bąkał: tak, rzeczywiście, zbudowanie Kon-Tiki było pracą bardzo żmudną, bardzo skomplikowaną. I mówiąc to, pieszczotliwie gładził swoją zabawkę.

Okolo siódmej wieczorem zabierał stateczek, siadał na ławce i wycierał go frotowym ręcznikiem. Potem widziałem, jak ze swoim Kon-Tiki pod pachą odchodzi w kierunku ulicy Rivoli. Później często przypominałem sobie jego postać, niknącą w zapadającym zmierzchu.

Czy mam mu przypomnieć o tamtych spotkaniach? Przecież na pewno już nie miał swojego stateczka. Odpowiedziałem więc: „Do widzenia”, i schwyciwszy dwie pierwsze walizki, powoli ruszyłem przez ogród. W milczeniu szedł obok mnie. Na błotniku dodge’a przysiadła Yvonne. Meinthe odchylił głowę na oparcie siedzenia i zamknął oczy. Włożyłem obie walizki do bagażnika. Tamten śledził moje ruchy z zachłannym zainteresowaniem. Gdy wracałem przez ogród, szedł przodem, co rusz odwracając się, jakby sprawdzał, czy aby na pewno za nim idę. Mówiąc: „Pan pozwoli”, zdecydowanym ruchem schwycił ostatnią walizkę. Ta była najcięższa. Włożyłem do niej książki. Co pięć metrów stawiał ją i łapał oddech. Ilekroć robiłem ruch, by mu ją odebrać, mówił:

– Bardzo pana proszę...

Sam również chciał ją wywindować na tylne siedzenie. Wreszcie z wielkim trudem mu się to udało i, z opuszczonymi rękami, z poczerwieniałą z wysiłku twarzą, stanął przy samochodzie. Na Yvonne i Meinthe’a nie zwracał najmniejszej uwagi. Coraz bardziej przypominał mi spaniela.

– No cóż – wymamrotał. – Życzę panu szczęścia.

Meinthe powoli ruszył. Nim samochód wziął pierwszy zakręt, odwróciłem się. Stał pośrodku drogi, tuż pod latarnią, która oświetlała jego grubą tweedową marynarkę i beżowe spodnie z mankietami. W sumie brakowało mu tylko Kon-Tiki pod pachą. Są takie tajemnicze istoty – zawsze te same – które trzymają straż na wszystkich rozstajach naszego życia.

ROZDZIAŁ VI

WHermitage’u oprócz sypialni miała także salon, na którego umeblowanie składały się trzy fotele obite perkalem, okrągły mahoniowy stół i kanapa. Ściany salonu i sypialni pokrywała tapeta w deseń z Jouy. Kufer kazałem ustawić w kącie pokoju, tak żeby mieć pod ręką zawartość jego szuflad; swetry, stare gazety. Walizki sam wstawiłem do łazienki, nawet ich nie otwierając, bo w każdej chwili trzeba być gotowym do drogi i każdy pokój, w którym się wylądowało, traktować jak przystań tymczasową.

Gdzie zresztą miałbym rozłożyć moje ubrania, książki i czasopisma? Wszystkie szafy pełne były jej sukienek i pantofli, a inne okupowały fotele i kanapę w salonie. Mahoniowy stół zavalony był kosmetykami. Hotelowy pokój aktorki filmowej, pomyślałem. Cały ten bałagan opisywany przez dziennikarzy z „Cinéma” czy „Vedettes”. Lektura tych magazynów silnie oddziaływała na moją wyobraźnię. Śniłem na jawie. Żeby więc się nie obudzić, unikałem zbyt gwałtownych ruchów i zbyt dociekliwych pytań.

Już chyba pierwszego wieczoru poprosiła, żebym przeczytał scenariusz filmu Rolfa Madei, w którym wystąpiła. Byłem wzruszony. Nazywało się to *Liebesbriefe auf der Berg* (List miłosny z gór) i było historią instruktora narciarskiego nazwiskiem Kurt Weiss, który zimą udziela lekcji bogatym cudzoziemkom przyjeżdżającym na wywczasy do eleganckiego kurortu Vorarlberg. Dzięki swojej opaleniznie oraz wielkiej urodzie wszystkie po kolei uwodzi. W końcu w jednej z nich, żonie węgierskiego przemysłowca, namiętnie się zakochuje, ta zaś odwzajemnia jego

uczucia. W niezwykle „wytwornym” lokalu, odprowadzani zawistnym spojrzeniem innych kobiet, Kurt i Lena tańczą z sobą do drugiej nad ranem, a potem kończą noc w hotelu Bauhaus. Przysięgają sobie wieczną miłość i w ustronnej chacie góralskiej rozmawiają o wspólnej przyszłości. Ona musi wyjechać do Budapesztu, lecz obiecuje mu, że wróci najszybciej, jak będzie mogła. „Na ekranie pada teraz śnieg; potem śpiewnie szumią strumienie, a drzewa pokrywają się świeżą zielenią. Jest wiosna, potem lato”. Kurt Weiss pracuje teraz w swoim prawdziwym zawodzie jako murarz i trudno w nim rozpoznać owego opalonego adonisa stoków. Codziennie pisze do Leny list, ale daremnie wyczekuje odpowiedzi. Czasami odwiedza go pewne miejscowe dziewczę. Wspólnie chadzają na dalekie spacer. Dziewczę kocha Kurta, ale on nieustannie myśli o Lenie. Na zakończenie perypetii, których już nie pomnę, wspomnienie Leny powoli się zaciera z korzyścią dla dziewczęcia (rolę tę zagrała Yvonne) i Kurt nareszcie pojmuje, że nie wolno mu zlekceważyć tak czułego starania. W ostatniej scenie całują się na tle gór i zachodzącego słońca.

Obraz zimowego kurortu, jego obyczajów i bywalców uznałem za bardzo udatnie odmalowany. Co zaś do dziewczęcia, w które wcieliła się Yvonne, „była to piękna rola dla debiutantki”.

Powiedziałem jej to. Słuchała moich słów z wielką uwagą. Zapytałem, kiedy będzie można film obejrzeć. Nie wcześniej niż we wrześniu, ale za jakieś piętnaście dni Madeja zorganizuje zapewne pokaz w Rzymie, składankę ujęć przed montażem. Pojedziemy tam razem, bo „bardzo chciałaby się dowiedzieć, jak oceniam jej interpretację”.

Tak, gdy próbuję odtworzyć te pierwsze chwile naszego „wspólnego życia” słyszę, jak z zużytej płyty, nasze ciągłe rozmowy na temat jej „kariery”. Chcę wypaść interesująco. Schlebiam jej. „Ten film Madei jest dla pani bardzo ważny, ale teraz trzeba będzie znaleźć kogoś, kto będzie umiał w pełni wyeksponować pani walory... Jakiegoś zdolnego młodego człowieka... Może Żyda...”. Słucha mnie coraz uważniej. „Tak pan myśli?” – „Tak, jestem tego pewny”.

Naiwna szczerłość malująca się na jej twarzy dziwi mnie, mnie, ledwie osiemnastolatka. „Naprawdę tak uważasz?” – pyta. W pokoju panuje coraz większy

bałagan. Przez dwa dni chyba w ogóle nie wychodziliśmy.

Skąd pochodziła? Bardzo szybko zorientowałem się, że nie jest z Paryża. Mówiła o nim jak o mieście, które ledwie znała. Miała za sobą dwa czy trzy krótkie pobyty w Windsor-Reynoldsie, hotelu przy ulicy Beaujon, który dobrze pamiętam, bo tam, przed swoim dziwnym zniknięciem, umawiał się ze mną mój ojciec (nie mogę sobie przypomnieć gdzie, czy w hallu Windsor-Reynoldsa, czy Lutetii widziałem go po raz ostatni). Oprócz Windsor-Reynoldsa pamiętała jeszcze ulicę Colonel-Midi i bulwar Beausejour, gdzie miała przyjaciół (nie śmiałem zapytać jakich). Za to w jej rozmowach często powracały Genewa i Mediolan. Pracowała w Mediolanie, w Genewie również. Ale co to była za praca?

Ukradkiem zajrzałem do jej paszportu. Narodowość francuska. Miejsce zamieszkania: Genewa, plac Dorciere 6 bis. Ku memu wielkiemu zdziwieniu urodziła się w tym samym mieście w Górnej Sabaudii, gdzie byliśmy. Zbieg okoliczności? A może właśnie stąd pochodziła? Czy miała tu jeszcze jakąś rodzinę?

Zaryzykowałem i zapytałem o to, ale wyczułem, że chce coś przede mną ukryć. Mgliście napomknęła, że wychowała się za granicą. Nie nalegałem. Z czasem, pomyślałem, i tak dowiem się wszystkiego.

Ona też mnie podpytywała. Czy przyjechałem tu na wakacje? Na jak długo? Wyznała, że od razu odgadła, że jestem z Paryża. Oświadczyłem, że „moja rodzina” (a słowa „moja rodzina” sprawiły mi ogromną przyjemność) nalegała, bym ze względu na „słabe zdrowie” wyjechał na kilkumiesięczny odpoczynek. Udzielając tych wyjaśnień, oczami wyobraźni widziałem tuzin postaci z poważnymi minami zasiadających wokół stołu w pokoju o ścianach wyłożonych boazerią: „radę rodzinną”, która miała podjąć pewne decyzje odnośnie do mojej osoby. Okna pokoju wychodziły na bulwar Malesherbes, ja zaś należałem do tej starej żydowskiej burżuazji, która w latach dziewięćdziesiątych ubiegłego wieku osiadła na równinie Monceau. Raptem zapytała: „Chmara to nazwisko rosyjskie. Czy jest pan Rosjaninem?”. A wtedy wyobraziłem sobie co innego: moja babka i ja mieszkaliśmy na parterze kamienicy nieopodal

Etoile'u, a konkretnie na ulicy Lord-Byron lub Bassano (ważne są dla mnie szczegóły). Żyliśmy z wyprzedaży naszej „rodowej biżuterii” lub zastawialiśmy ją w lombardzie na ulicy Pierre-Charron. Tak, byłem Rosjaninem i nazywałem się Chmara. Hrabia Chmara. To chyba zrobiło na niej spore wrażenie.

Przez kilka dni nie bałem się niczego ani nikogo. A potem to znów wróciło. Ten dawny, obsesyjny ból.

Pierwszego popołudnia po wyjściu z hotelu wsiedliśmy na statek Admirał Guisand, który opływał wokół jezioro. Założyła okulary przeciwsłoneczne w grubych oprawkach z odblaskowymi szklami. Można się było w nich przejrzeć jak w lustrze.

Statek leniwie sunął po jeziorze; dopłynięcie do Saint-Jorioz zajęło mu ze dwadzieścia minut. Słyszałem odległy pomruk łodzi motorowych, okrzyki i śmiech kąpiących się ludzi. Wysoko w górze przeleciał samolot turystyczny, ciągnąc za sobą wstęgę z tajemniczym napisem: „PUCHAR HOULIGANT”. Po długim manewrowaniu dopłynęliśmy, czy raczej „Admirał Guisand” przybił, do nabrzeża. Na pokład wsiadło kilka osób – wśród nich ksiądz w ognistocie czerwonej sutannie – i statek na nowo podjął swą dychawiczną podróż. Z Saint-Jorioz brał kurs na miejscowość o nazwie Voirens. Potem będzie Port-Lusatz i trochę dalej – Szwajcaria. W porę jednak zawróci i dopłynie do przeciwległego brzegu.

Wiatr zwiewał jej na czoło kosmyk włosów. Zapytała, czy gdybyśmy wzięli ślub, to i ona byłaby hrabiną. Powiedziała to tonem żartu, za którym jednak domyślałem się wielkiej ciekawości. Odparłem, że nazywałaby się wtedy „hrabina Yvonne Chmara”.

– Ale czy Chmara to naprawdę rosyjskie nazwisko?

– Gruzińskie – powiedziałem. – Gruzińskie...

Gdy statek zatrzymał się w Veyrier-du-Lac, już z dala rozpoznałem białoróżową willę Madei. Yvonne spoglądała w tym samym kierunku. Obok nas na pokładzie przystanęła grupka młodzieży. Większość z owych chłopców i dziewcząt miała na sobie stroje tenisowe, spod białych plisowanych spódniczek wyzierały krzepkie uda dziewcząt. Wszyscy mówili z tym zębowym akcentem, tak charakterystycznym dla Ranelagh i okolic alei Bugeaud. A ja zastanawiałem się, dlaczego niektórzy z nich,

było nie było należących do francuskiej elity, mają a to lekki trądzik, a to parę kilo nadwagi. Musiało się to wiązać z ich sposobem odżywiania się.

Dwóch członków paczki omawiało zalety rakiet Pancho Gonzales i Spalding. Ten bardziej elokwentny miał kozią bródkę i koszulę ze znaczkiem zielonego krokodylka. Rozmowa na tematy techniczne. Niezrozumiałe słownictwo. Łagodny, usypiający szmer głosów w promieniach słońca. Jedna z jasnowłosych dziewcząt nieobojętna była, jak się zdaje, na urok popisującego się przed nią bruneta w mokasynach i w blezerze z monogramem. Inna znów blondynka oświadczyła, że „prywatkę zrobi pojutrze wieczorem” i że „rodzice zostawią im chatę”. Plusk wody obmywającej kadłub statku. Samolot zawrócił w naszą stronę i znów mogłem przeczytać na wstędze ów dziwny napis: „PUCHAR HOULIGANT”.

Płynęli, jeśli dobrze zrozumiałem, do klubu tenisowego Saint-Bernard w Mentonie. Ich rodzice pewnie mieli własne wille nad jeziorem. A my dokąd my płynęliśmy? Kim byli nasi rodzice? Czy Yvonne, tak jak tamci, też pochodziła z „dobrej rodziny”? A ja? Mój tytuł hrabiowski to jednak nie to samo co zbłąkany na białym polo zielony krokodylek... „Pan hrabia Victor Chmara proszony jest do telefonu”. To by dopiero zabrzmiało.

W Mentonie razem z nimi zeszliśmy na ląd. Maszerowali przed nami z rakietami w rękę. Wzdłuż drogi, którą szliśmy, stały wille w stylu góralskim, w których marzycielska burżuazja od wielu pokoleń spędzała wakacje. Niektóre zupełnie ginęły pośród kęp głogu lub świerków. Villa Primavera, Villa Edelweiss, Les Chamoi, Chalet Marie-Rose... Poszli w lewo, drogą prowadzącą na korty tenisowe. Ucichły śmiechy i gwar ich rozmów.

My natomiast skręciliśmy w prawo. Grand Hotel w Mentonie, głosiła tablica. Droga biegła stromo pod górę aż po wysypaną żwirem esplanadę. Rozciągający się stąd widok był równie rozległy co z tarasów Hermitage’u, ale posępniejszy. Po tej stronie przeciwległy brzeg jeziora sprawiał wrażenie zaniedbanego. Hotel był bardzo stary. W hallu rośliny w donicach, wiklinowe fotele i wielkie, kryte tkaniną w szkocką kratę kanapy. W lipcu i sierpniu zjeżdżali tu całymi rodzinami. W spisie hotelowych gości powtarzały się wciąż te same nazwiska, typowo francuskie, dwuczłonowe

nazwiska w rodzaju Sergent-Delval, Hattier-Morel, Paquier-Panhard... I kiedy wzięliśmy pokój, pomyślałem, że przy nich „hrabia Victor Chmara” będzie wyglądało jak tłusta plama.

Wokół nas dzieci, ich matki i dziadkowie, wszyscy niezmiernie godni, z torbami pełnymi poduszek i frotowych ręczników, szykowali się do wyjścia na plażę. Obok grupka młodzieży otaczała jakiegoś krótko ostrzyżonego, wysokiego bruneta w rozchylonej na piersi wojskowej koszuli barwy khaki. Stał wsparty o kule. Tamci go o coś wypytywali.

Narożny pokój. Jedno z okien wychodziło na esplanadę i jezioro, drugie było zamurowane. Wielkie tremo i stół nakryty koronkową serwetą. Łóżko z miedzianymi prętami. Zostaliśmy w nim aż do zmroku.

Przechodząc przez hall, zobaczyłem ich przy kolacji w jadalni. Wszyscy ubrani byli w miejskie stroje – nawet dzieci były pod krawatami i w sukieneczkach. Byliśmy jedynymi pasażerami na pokładzie Admirala Guisanda. W stronę powrotną płynął przez jezioro jeszcze wolniej niż poprzednio. Przybijał do opustoszałych przystani, po czym znów podejmował swą wędrówkę starej, steranej łajby. Zza zasłony zieleni migotały światła willi nad jeziorem. W oddali kasyno oświetlały reflektory; tego wieczoru odbywała się w nim zapewne jakaś uroczystość. Tak bardzo pragnąłem, żeby statek zatrzymał się pośrodku jeziora lub przy jednym z tych na wpół zatopionych hulków. Yvonne usnęła.

Często jadaliśmy z Meinthe’em kolację w Sportingu. Rozstawione na świeżym powietrzu, nakryte białymi obrusami stoły. Na każdym lampka z podwójnym abażurem. Czy znacie to zdjęcie z kolacji na „Balu Białych Łóźeczek”, który odbył się 22 sierpnia 1939 roku w Cannes? Albo to, które zawsze przy sobie noszę (jest na nim mój ojciec w otoczeniu całego tego, dziś już nieistniejącego, towarzystwa) zrobione 11 lipca 1948 roku w kasynie w Kairze tej nocy, kiedy młoda Angielka Kay Owen została wybrana Miss „Bathing Beauty”? No więc oba te zdjęcia równie dobrze mogły zostać zrobione w Sportingu tego lata, kiedy tam bywaliśmy. Ta sama sceneria. Te same „błękitne” noce. Ci sami ludzie. Tak, niektóre z tych twarzy były mi znane.

Meinthe za każdym razem miał na sobie smoking innego koloru, a Yvonne muślinową lub jedwabną sukienkę. Bardzo lubiła bolerka i szale. Co do mnie, to skazany byłem na mój jedyny flanelowy garnitur i krawat z International Bar Fly. Z początku Meinthe zabierał nas do Sainte-Rose, nocnego lokalu nad jeziorem za przystanią Saint-Bernard w Mentonie, a konkretnie w Voirens. Znał jego właściciela, niejakiego Pulliego – Meinthe zdradził nam, że ma on sądowy zakaz pobytu w Szwajcarii. Ale ten tęgi mężczyzna o aksamitnych oczach sprawiał wrażenie chodzącej łagodności. Mówiąc, seplenił. Sainte-Rose było lokalem bardzo „szykownym”. Spotykało się tu tych samych zamożnych letników co w Sportingu. Na tarasie z pergolą odbywały się tańce. Pamiętam, jak tuliłem do siebie Yvonne, wyobrażając sobie, że już nigdy nie będę potrafił obejść się bez zapachu jej skóry i włosów, a orkiestra grała *Tuxedo Junction*.

W gruncie rzeczy byliśmy dla siebie stworzeni.

Wracaliśmy bardzo późno. W salonie pies już spał. Odkąd zamieszkałem z Yvonne w Hermitage’u, jego melancholia się pogłębiła. Co dwie, trzy godziny z regularnością metronomu podnosił się, obchodził wkoło pokój i z powrotem się kładł. Idąc do salonu, za każdym razem przystawał przed oknem w naszej sypialni, siadał i, czujnie postawiwszy uszy, przez kilka minut śledził wzrokiem płynącego po jeziorze Admirala Guisanda bądź kontemplował krajobraz. Fascynowała mnie smutna delikatność tego zwierzęcia, wzruszało obserwowanie, jak pełni swoją funkcję stróża.

Yvonne narzucała szlafrok plażowy w szerokie pomarańczowo-zielone pasy i kładła się w poprzek łóżka, paląc papierosa. Na stoliku nocnym, obok szminki do ust lub rozpylacza do perfum, zawsze poniewierały się pliki banknotów. Skąd miała te pieniądze? I od jak dawna mieszkała w Hermitage’u? „Ulokowano” ją tu na czas kręcenia filmu. Ale teraz, kiedy film był już skończony? Bardzo jej zależało – jak mi wyjaśniła – by spędzić sezon w tym kurorcie. „Sezon” zapowiadał się „znakomicie”. „Kurort”, „sezon”, „znakomity”, „hrabia Chmara”... i kto tu kogo zwodził w tym obcym języku?

Ale może odczuwała potrzebę towarzystwa? Byłem troskliwy, szarmancki, delikatny i namiętny jak wtedy, kiedy ma się osiemnaście lat. Podczas pierwszych

wspólnych wieczorów, o ile nie dyskutowaliśmy właśnie o jej „karierze”, prosiła, żebym przeczytał jej jedną czy dwie stronicie *Historii Anglii* André Maurois. Za każdym razem gdy zabierałem się do lektury, w drzwiach salonu zaraz sadowił się dog, wpatrując się we mnie z powagą. Yvonne, ubrana w swój szlafrok plażowy, leżała i słuchała z lekko zmarszczonymi brwiami. Nie mogłem pojąć, czemu ona, która nigdy w życiu nic nie przeczytała, tak bardzo upodobała sobie tę historyczną rozprawę. Mętnie wyjaśniała: „Wiesz, to jest bardzo piękne”, albo: „Maurois jest wielkim pisarzem”. Przypuszczam, że znalazła *Historię Anglii* w hallu Hermitage’u i od tego momentu traktowała ją jak rodzaj talizmanu czy maskotki. Niekiedy mówiła: „Czytaj wolniej”, lub pytała mnie o znaczenie jakiegoś zdania. Chciała się nauczyć *Historii Anglii* na pamięć. Powiedziałem jej kiedyś, że André Maurois byłby bardzo rad, gdyby się o tym dowiedział. Wtedy zaczęła mnie o niego wypytywać. Powiedziałem, że Maurois był pisarzem żydowskim, bardzo łagodnym i zafascynowanym psychiką kobiet. Któregoś wieczoru poprosiła, żebym podyktował jej taki oto liścik: „Szanowny panie Maurois, jestem pana wielbicielką. Żyję pańską *Historią Anglii* i bardzo chciałabym mieć pana autograf. Z poważaniem, Yvonne X”.

Nigdy jej nie odpisał. Dlaczego?

Od jak dawna znała Meinthe’a? Od zawsze. On – prawdopodobnie – również mieszkał w Genewie i większość czasu spędzali razem. Meinthe „mniej lub bardziej” parał się medycyną. Między stronicami książki Maurois znalazłem wizytówkę, na której wygrawerowane były trzy słowa: „Doktor René Meinthe”, na półeczce nad umywalką zaś, wśród kosmetyków, receptę na proszki nasenne wystawioną przez „Doktora René R.C. Meinthe’a”.

Co rano po przebudzeniu znajdowaliśmy liścik od Meinthe’a wsunięty pod drzwi. Kilka z nich zachowałem; mimo upływu czasu wciąż pachną wetiwerą. Tylko co nią tak pachniało: koperta, papier, a może – kto wie – atrament, którego używał Meinthe? Czytam pierwszy z brzegu: „Czy będę miał przyjemność zobaczyć się z Wami dziś wieczorem? Po południu muszę wpaść do Genewy. Zadzwoń do Was do hotelu koło dziewiątej. Całuję. Wasz René M.” Czy ten: „Wybaczcie, że nie dawałem śladu życia,

ale przez czterdzieści osiem godzin w ogóle nie opuszczałem swojego pokoju. Rozmyślałem nad tym, że za trzy tygodnie skończę dwadzieścia siedem lat. I że będę już wtedy bardzo, ale to bardzo starym człowiekiem. Do zobaczenia wkrótce. Całuję Was. Wasza wojenna matka chrzestna. René”. Albo ten, adresowany do Yvonne charakterem pisma zdradzającym zdenerwowanie: „Czy wiesz, kogo spotkałem przed chwilą w hallu? Tę dziwkę François Maulaza. Chciał uścisnąć mi dłoń. O nie, co to, to nie. Nigdy. Co za zaraza!” (ostatnie słowo podkreślone cztery razy). Oraz inne jeszcze.

Często rozmawiali z sobą o ludziach, których nie znałem. Zapamiętałem kilka nazwisk: Claude Brun, Paulo Hervieu, niejaka „Rosy”, Jean-Pierre Pessoz, Pierre Fournier, François Maulaz, „Carltonka”, osobnik nazwiskiem Doudou Hendrickx, którego Meinthe nazywał „świnia”... Niebawem zorientowałem się, że byli to wszystko ludzie pochodzący stąd, z tej miejscowości letniskowej, która z końcem października z powrotem stawała się zwykłym małym miasteczkiem. O Brunie i Hervieu Meinthe mówił, że „wyjechali” do Paryża, że Rosy przejęła hotel swojego ojca w La Clusac, a ta „dziwka” Maulaz, syn właściciela księgarni, każdego lata pokazuje się w Sportingu z jednym z członków zespołu Comédie-Française. Przypuszczalnie byli oni ich przyjaciółmi z czasów dzieciństwa lub młodości. Pytani o to, Meinthe i Yvonne udzielali wymijających odpowiedzi i przerywali swoje pogaduszki. A wtedy, mając w pamięci to, co odkryłem w paszporcie Yvonne, wyobrażałem sobie ich oboje jako nastolatków wychodzących zimą z kina „Régent”.

ROZDZIAŁ VII

Gdybym tak mógł znaleźć jeden z tych programów wydawanych przez informację turystyczną – biała okładka, od której odcinały się na zielono kasyno i sylwetka kobiety, naszkicowane w manierze Jeana-Gabriela Domergue’a. Lista imprez wraz z ich dokładnymi datami dostarczyłaby mi pewnych punktów odniesienia.

Któregoś wieczoru wybraliśmy się posłuchać Georges’a Ulmera, który śpiewał w Sportingu. Było to chyba na początku lipca i musiałem już wtedy mieszkać z Yvonne od pięciu lub sześciu dni. Towarzyszył nam Meinthe. Ulmer miał na sobie śmietankowobłękitny garnitur, od którego nie mogłem oderwać wzroku. Ten aksamitny błękit musiał mieć jakieś hipnotyzujące właściwości, gdyż wpatrując się w niego, niemal usnąłem.

Meinthe zaproponował, żebyśmy się czegoś napili. W półmroku, pośród tańczących par usłyszałem wtedy po raz pierwszy, jak rozmawiają o Pucharze Houligant. Przypomniałem sobie samolot turystyczny i zagadkowy napis na wstędze. Puchar Houligant budził wielkie zainteresowanie Yvonne. Był to swego rodzaju konkurs elegancji. Ze słów Meinthe’a wynikało, że warunkiem uczestnictwa w Pucharze było posiadanie luksusowego samochodu. Pojechać dodge’em czy może wynająć w Genewie auto? (To Meinthe poruszył tę kwestię). Yvonne miała ochotę spróbować szczęścia. W jury zasiadały różne ważne osoby: prezes klubu golfowego w Chavoire z żoną, kierownik ośrodka informacji turystycznej, podprefekt Górnej Sabaudii, André de Fouquières (aż podskoczyłem słysząc to nazwisko i poprosiłem

Meinthe'a, żeby jeszcze raz je powtórzył; tak, to był ten sam André de Fouquières, którego przez długie lata nazywano arbitrem elegancji; czytałem jego ciekawe pamiętniki), prowadzący hotel Windsor państwo Sandoz, Daniel Hendrickx – były mistrz narciarski i właściciel eleganckich sklepów ze sprzętem sportowym w Megève i w Alpe d'Huez (ten, którego Meinthe nazywał „świnia”), reżyser filmowy, którego nazwisko wyleciało mi już z pamięci (coś jakby Gamonge czy Gamace) i wreszcie tancerz José Torres.

Meinthe również był podekscytowany perspektywą udziału w Pucharze w charakterze *chevalier servant* Yvonne. Cała jego rola miała polegać na poprowadzeniu samochodu szeroką, żwirowaną aleją Sportingu i zatrzymaniu go przed jury. Następnie miał wysiąść i otworzyć drzwi przed Yvonne. Dog naturalnie również miał wziąć udział w spektaklu.

Z tajemniczą miną, puszczając do mnie oko, Meinthe wręczył mi kopertę z listą uczestników konkursu. Stawali do zawodów jako ostatni, z numerem 32. „Doktor R.C. Meinthe i panna Yvonne Jacquet” (właśnie przypomniałem sobie jej nazwisko). Odbywający się co roku o tej samej porze Puchar Houligant nagradzał „piękno i elegancję”. Organizatorom udało się zrobić mu niezłą reklamę, gdyż – jak wyjaśnił mi Meinthe – wzmianki o tym wydarzeniu ukazywały się niekiedy nawet w paryskich gazetach. Uważał, że wszystko przemawia za tym, żeby Yvonne wzięła w nim udział.

Gdy wstaliśmy od stołu, żeby zatańczyć, nie mogła się powstrzymać i zapytała mnie, jak uważam, czy powinna wziąć udział w tym konkursie, czy nie. Poważny problem. Miała zgubione spojrzenie. Widziałem Meinthe'a siedzącego samotnie nad swoim „jasnym” portem. Daszkiem lewej dłoni osłaniał oczy. Czyżby płakał? Chwilami on i Yvonne robili na mnie wrażenie bezbronnych i zagubionych (oto właściwe słowo: zagubieni).

Ależ oczywiście, że powinna wziąć w nim udział. Oczywiście. Było to ważne dla jej kariery. Przy odrobinie szczęścia zostanie Miss Houligant. Oczywiście. Zresztą one wszystkie tak zaczynały.

Meinthe postanowił, że pojedzie dodge'em. Wypucowany w przeddzień Pucharu,

model ten może zrobić jeszcze całkiem niezłe wrażenie. Jego beżowa karoseria była prawie nowa.

Im bliżej było niedzieli 9 lipca, tym bardziej Yvonne stawała się nerwowa. Przewracała kieliszki, nie mogła usiedzieć w jednym miejscu, surowo karciała swego psa, który spoglądał na nią z łagodnym politowaniem.

Meinthe i ja staraliśmy się dodać jej otuchy. Konkurs będzie na pewno mniej męczący niż kręcenie filmu. Pięć krótkich minut. Kilka kroków przed jury. Nic więcej. A w przypadku porażki na pocieszenie będzie sobie mogła przynajmniej powiedzieć, że jest jedyną, która zagrała już w filmie. W pewnym sensie – profesjonalistką.

Żeby jednak nie było żadnych niespodzianek, Meinthe zaproponował przeprowadzenie w piątek po południu w szerokiej cienistej alei za hotelem Alhambra próby generalnej. Siedząc na krześle ogrodowym, udawałem jurora. Dodge zbliżał się powoli. Meinthe prowadził prawą ręką, obok niego usadowiła się Yvonne ze sztucznym uśmiechem. Pies odwrócił się do nich tyłem i siedział w tej pozycji nieruchomo niczym figura na rufie okrętu.

Dokładnie naprzeciwno mnie Meinthe zatrzymał się i oparłszy lewą rękę o drzwi samochodu, przeskoczył nad nimi z nerwową swobodą. Wylądował wytwornym ruchem; zestawione stopy, tułów wyprostowany. Następnie, skłoniwszy głowę w powitalnym geście, drobnymi kroczkami obszedł dodge'a i zamasyście otworzył drzwi przed Yvonne, która mocno trzymając psa za obrozę, wysiadła i zrobiła kilka niepewnych kroków. Dog spuścił łeb. Po czym z powrotem zajęli swoje miejsca, zaś Meinthe znów wskoczył za kierownicę bez otwierania drzwi. Byłem pełen podziwu dla jego sprężystości.

Zamierzał powtórzyć swój wyczyn przed jury. Zobaczymy, jaką minę zrobi Doudou Hendrickx.

W przeddzień wieczorem Yvonne chciała się napić szampana. W nocy spała niespokojnie. Była jak mała dziewczynka, która w dniu szkolnego święta przed wejściem na estradę w każdej chwili gotowa jest się popłakać.

Meinthe wyznaczył nam spotkanie w hallu rano, punktualnie o dziesiątej. Impreza rozpoczynała się w południe, lecz potrzebował jeszcze trochę czasu na dopracowanie paru szczegółów: ogólny przegląd dodge'a, rozmaite rady dla Yvonne i ewentualnie kilka ćwiczeń na rozgrzewkę.

Uparł się, żeby uczestniczyć w ostatnich przygotowaniach Yvonne, która nie mogła się zdecydować, czy wybrać turban w kolorze fuksji, czy wielki słomkowy kapelusz. „Turban, kochanie, turban” – rozstrzygnął ze znużeniem. Postanowiła włożyć białą płócienną szmizjerkę. Meinthe miał na sobie garnitur z szantungu w kolorze piaskowym. Mam pamięć do ubiorów.

Yvonne, Meinthe, pies i ja wyszliśmy z hotelu. Słoneczny lipcowy poranek, jakiego dawno nie pamiętałem. Delikatny wietrzyk poruszał wielką flagą umocowaną na szczycie masztu przed hotelem. Barwy lazuru i złota. Do jakiego należały kraju?

Na wolnym biegu zjechaliśmy w dół bulwarem Carabacel.

Po obu stronach szerokiej alei wiodącej do Sportingu stały już zaparkowane samochody innych uczestników konkursu. Gdy ich nazwiska i numery zostaną wywołane przez głośnik, od razu mają stawić się przed jury. Komisję ulokowano na tarasie restauracji. Oglądała pokaz z góry, jako że niżej aleja kończyła się kolistym placem. Meinthe polecił mi przysunąć się jak najbliżej jury i mieć baczenie na wszystko, po najdrobniejsze szczegóły. Przede wszystkim zaś miałem obserwować twarz Doudou Hendrickxa, w chwili gdy Meinthe będzie wykonywał swoje akrobacje. W razie potrzeby mogłem zrobić nawet kilka notatek.

Siedząc w dodge'u czekaliśmy. Yvonne, niemal przywierając czołem do lusterka wstecznego, sprawdzała swój makijaż. Meinthe założył dziwaczne okulary słoneczne w metalowych oprawkach i ocierał chusteczką podbródek i skronie. Głaskałem psa, który obrzucał nas wszystkich po kolei strapionym spojrzeniem. Zaparkowaliśmy przy korcie tenisowym, na którym czwórka graczy – dwóch mężczyzn i dwie kobiety – rozgrywała właśnie partię, i próbując jakoś rozerwać Yvonne, zwróciłem jej uwagę, że jeden z tenisistów jest podobny do francuskiego komika Fernandela. „A jeśli to on?” – zasugerowałem. Ale Yvonne mnie nie słuchała. Drżały jej ręce. Meinthe pokasływaniem skrywał swoje zdenerwowanie. Nastawił radio, które zagłuszyło

monotonny, irytujący stukot piłeczek tenisowych. Siedzieliśmy wszyscy troje bez ruchu, z bijącym sercem słuchając nadawanych komunikatów. Wreszcie z głośnika rozległo się: „Nasi mili uczestnicy Konkursu Elegancji Houligant proszeni są o przygotowanie się”. I potem, dwie lub trzy minuty później: „Zawodnicy z numerem pierwszym, państwo Jean Hatmer!”. Meinthe uśmiechnął się nerwowo. Pocałowałem Yvonne, życząc jej powodzenia, i udałem się boczną drogą w kierunku restauracji Sportingu. Emocje udzieliły się również mnie.

Jury zasiadało przy ustawionych rzędem białych drewnianych stolikach; nad każdym z nich rozpostarty był zielono-czerwony parasol. Wokół tłoczyli się widzowie. Niektórym udało się zdobyć miejsce siedzące i coś do picia, inni, ubrani w plażowe stroje, stali. Zgodnie z życzeniem Meinthe’a przysunąłem się jak najbliżej jurorów, tak by móc obserwować ich reakcje.

Od razu zauważyłem André de Fouquières’a, którego znałem ze zdjęcia na okładce jednej z jego książek (ulubionych książek mojego ojca. To on doradził mi ich lekturę; czytałem je z wielką przyjemnością). Fouquières miał na głowie panamę z granatową jedwabną wstążką. Oparł brodę na prawej dłoni, jego twarz wyrażała wytworne znużenie. Nudził się. Zważywszy jego wiek, wszyscy ci letnicy w bikini i kostiumach kąpielowych w cętki musieli robić na nim wrażenie istnych Marsjan. Nikogo, z kim mógłby porozmawiać o Emilienne d’Alençon. Nie licząc mnie, o ile nadarzyłaby się po temu sposobność.

Opalony pięćdziesięciolatek o lwiej głowie i jasnych włosach (czyżby je farbował?) to z pewnością Doudou Heindrickx. Przez cały czas rozmawiał ze swoimi sąsiadami, głośno się przy tym śmiejąc. Miał niebieskie oczy i emanowało z niego zdrowe, dynamiczne chamstwo. Do byłego narciarza słała porozumiewawcze uśmiechy jakaś ciemnowłosa kobieta, z wyglądu sądząc, typowa przedstawicielka miejscowej burżuazji: prezesowa klubu golfowego w Chavoire czy ośrodka informacji turystycznej? Może pani Sandoz? Gamange (lub Gamonge), filmowiec, to musiał być ten facet w szylkretowych okularach i miejskim garniturze: szara dwurzędowa marynarka w delikatne białe prążki. Wyteżając pamięć, widzę również jakiegoś

osobnika około pięćdziesiątki o szarobłękitnych kręconych włosach i ustach smakosza. Wysuwał do przodu nos i podbródek, zapewne pragnąc uchodzić za człowieka energicznego i kontrolującego sytuację. Podprefekt? Pan Sandoz? A tancerz José Torres? Nie, jego nie było.

Aleją nadjeżdżał już ciemnoczerwony kabriolet peugeot 203; zatrzymał się pośrodku placu i wysiadła z niego kobieta w sukni marszczącej w talii, z miniaturowym pudłem pod pachą. Mężczyzna został za kierownicą. Zrobiła kilka kroków przed jury. Na nogach miała czarne szpilki. Tleniona blondynka z rodzaju tych, jakie zapewne podobały się byłemu królowi Egiptu Farukowi, o którym tak często opowiadał mi ojciec, utrzymując, że miał okazję ucałować jego dłoń. Mężczyzna o szarobłękitnych kręconych włosach zaanonsował: „Pani Jean Hatmer”, starannie wymawiając zgłoski tego nazwiska. Wypuściła z rąk swojego pieska, który opadł na cztery łapy, i przedfilowała przed jury, nieudolnie próbując naśladować krok modelek na wybiegach: puste spojrzenie, płynne ruchy głowy. Następnie wróciła na swoje miejsce w peugeotcie. Nikłe oklaski. Jej mąż był ostrzyżony na jeża. Zauważyłem, że był spięty. Wrzucił wsteczny bieg, następnie wykonał zgrabny półobrót – nietrudno było zgadnąć, że za punkt honoru postawił sobie wypaść jak najlepiej jako kierowca. Jego peugeot błyszczał tak, że chyba własnoręcznie go wypucował. Uznałem ich za młode małżeństwo; on – inżynier z zacnych sfer mieszczańskich, ona – skromniejszego pochodzenia, obydwoje natomiast zapaleni sportowcy. Wierny swojemu nawykowi osądzania wszystkiego w konkretnych realiach, wyobraziłem ich sobie w jakimś małym, przytulnym mieszkanku przy ulicy Docteur-Blanche w Auteuil.

Po nich kolejno występowali inni uczestnicy. Niestety zapamiętałem tylko niektórych. Na przykład tę Eurazjatkę około trzydziestki, której towarzyszył otyły rudowłosy mężczyzna. Jechali odkrytym nashem w kolorze morskiej zieleni. Wsiadłszy z samochodu, kobieta jak automat, zrobiła jeden krok w stronę jury i stanęła, zdjeta nerwowym dygotem. Nie ruszając głową, rzucała wokół siebie przerażone spojrzenia. Gruby rudzielec z nasha przyzywał ją: „Monique... Monique... Monique...”; brzmiało niczym lament, jak modlitwa o oswojenie płochliwego, egzotycznego zwierzątka. W końcu wysiadł i pociągnął ją za rękę. Delikatnie pchnął

ją na siedzenie. Rozszlochała się. Wtedy gwałtownie ruszył i biorąc zakręt, niemal zmiotł jury. Albo ta para sympatycznych sześćdziesięciolatków, których nazwiska zapamiętałem: Jackie i Tounette Roland-Michel. Przyjechali szarym studebakerem i razem wystąpili przed jury. Ona, wysoka i rudowłosa, o energicznej końskiej twarzy, w tenisowym stroju. On średniego wzrostu, z małym wąsikiem, wydatnym nosem i kpiarskim uśmiechem – tak producent kalifornijski wyobraża sobie twarz typowego Francuza. Osoby z całą pewnością znane, gdyż facet o szarobłękitnych włosach zapowiedział: „Nasi przyjaciele, Tounette i Jackie Roland-Michel”. Troje czy czworo członków jury (w tym ciemnowłosa kobieta i Daniel Hendrickx) zaczęło klaskać. Za to Fouquières nie zaszczycił ich nawet jednym spojrzeniem. Ukłonili się, jednocześnie pochylając głowy. Czuli się dobrze i obydwójce wyglądali na bardzo z siebie zadowolonych.

„Numer 32. Panna Yvonne Jacquet i doktor René Meinthe”. Myślałem, że zemdleję. Z początku nic nie widziałem, tak jakbym raptownie wstał po całym dniu leżenia na kanapie. Zewsząd odbijał się echem głos wymieniający ich nazwiska. Oparłem się o ramię siedzącej przede mną osoby, ponieważ uświadamiając sobie, że osobą tą był André de Fouquières. Odwrócił się. Wyjąkałem niepewne przeprosiny. Nie byłem w stanie oderwać dłoni od jego ramienia. Musiałem się odchylić do tyłu, powoli przyciągając rękę do piersi i napinając wszystkie mięśnie, by przewyciężyć tę ołowianą niemoc. Nie widziałem, kiedy podjechali. Meinthe zatrzymał samochód na wprost jury. Miał zapalone reflektory. Niepokój ustąpił teraz we mnie miejsca osobliwej euforii i postrzegałem wszystko z większą niż zwykle ostrością. Meinthe trzykrotnie zatrąbił; na twarzach kilku członków komisji dostrzegłem lekkie zaskoczenie. Nawet Fouquières sprawiał wrażenie zaciekawionego. Daniel Heindrickx uśmiechał się, lecz moim zdaniem na siłę. A zresztą, czy to był rzeczywiście uśmiech? Nie, raczej nienaturalny, szyderczy grymas. Nie wysiadali z samochodu. Meinthe gasił i zapalał światła. Co zamierzał? Włączył wycieraczki. Twarz Yvonne była gładka, nieprzenikniona. I nagle Meinthe skoczył. Wśród jury i widzów dał się słyszeć szmer. Jego skok nie miał nic wspólnego z tym, który ćwiczył w piątek. Nie zadowolili się samym skokiem przez drzwi, lecz wybiwszy się w górę, błyskawicznym ruchem wyrzucił nogi i sprężyście wylądował, a wszystko to jednym susem, w jednym

dynamicznym wyładowaniu. Wyczułem w tym tyle pasji, tyle nerwowości i kapryśnej prowokacji, że zacząłem klaskać. Następnie obszedł samochód dookoła, co jakiś czas zatrzymując się, przystając nieruchomo, jakby szedł przez pole minowe. Jurorzy przyglądali się temu z rozdziawionymi ustami. Miało się wręcz pewność, że grozi mu niebezpieczeństwo, i gdy w końcu otworzył drzwi, niejeden wydał westchnienie ulgi.

Wysiadła w swej białej sukni. Za nią, z leniwą swobodą, wysiadł pies. Nie przedefilowała jednak, jak inne uczestniczki konkursu, tam i z powrotem przed jury, tylko oparła się o maskę i przez chwilę stała w tej pozie, przyglądając się z wyniosłym uśmiechem Fouquières'owi, Hendrickxowi i innym. A potem nieoczekiwanie zerwała z głowy turban i miękkim ruchem odrzuciła za siebie. Przeczesła dłonią włosy, które swobodnie opadły jej na ramiona. Pies wskoczył na jeden z błotników dodge'a, natychmiast nieruchomiejąc w pozie sfinksa. Jedną ręką od niechcenia go głaskała. Za nimi, za kierownicą czekał Meinthe.

Gdy myślę o niej dziś, ten właśnie obraz wraca do mnie najczęściej. Jej uśmiech i jej rude włosy. Obok biało-czarny pies. Beżowy dodge. I Meinthe, ledwie widoczny zza przedniej szyby samochodu. I zapalone reflektory. I promienie słońca.

Powoli przesunęła się w stronę drzwi, nie spuszczać wzroku z jury otworzyła je i usiadła na swoim miejscu. Pies wskoczył na tylne siedzenie z taką nonszalancją, że gdy w myślach odtwarzam szczegóły tej sceny, mam wrażenie, że skacze w zwolnionym tempie. I że dodge – choć może lepiej zbytnio nie ufać wspomnieniom – opuszcza rondo na wstecznym biegu. Meinthe zaś (ten gest także został utrwalony na spowolnionej taśmie filmowej mojej pamięci) rzuca różę. Róża spada na marynarkę Daniela Hendrickxa, a on chwyta ją i przygląda się jej z ogłupiałą miną. Nie wie, co począć z tym fantem. Nie ma nawet odwagi położyć jej na stole. W końcu wybucha głupkowskim śmiechem i wręcza ją swej sąsiadce, ciemnowłosej kobiecie, której nazwiska nie znam, ale która musi być albo żoną kierownika informacji turystycznej, albo prezesa klubu golfowego w Chavoires. Lub kto wie? Może panią Sandoz?

Zanim samochód wjechał w aleję, Yvonne odwraca się i macha ręką do jurorów. Wydaje mi się nawet, że posyła im wszystkim pocałunek.

Naradzają się po cichu. Trzech ratowników ze Sportingu grzecznie poprosiło nas o odsunięcie się o kilka metrów, żeby nie naruszać tajemnicy obrad. Każdy z jurorów miał przed sobą karteczkę z nazwiskami i numerami uczestników konkursu. W miarę jak ci pojawiali się, wystawiali im ocenę.

Gryzmołą coś na skrawkach papieru, składają je. Kładą następnie swe karteczki z głosami wszystkie razem i Hendrickx tasuje je drobnymi, wymanikiurowanymi dłońmi, tak kontrastującymi z jego barczystą i ociężałą posturą. Do niego również należy obliczenie głosów. Wyczytuje nazwiska i numery: Hatmer – 14, Tissot – 16, Roland-Michel – 17, Azuelos – 12; daremnie jednak wytyżam słuch, większości nazwisk nie słyszę. Kędzierzawy mężczyzna o łakomych ustach wpisuje numery do zeszytu. Nadal radzą z ożywieniem. Najwięcej zapalczywości wykazują Hendrickx, ciemnowłosa kobieta i mężczyzna o szarobłękitnych włosach. Ten nieustannie się uśmiecha, chyba tylko po to, żeby zademonstrować rząd wspaniałych zębów, i rzuca wokół siebie spojrzenia w jego pojęciu zniewalające; szybko trzepocze rękami, chcąc wypaść na osobnika prostodusznego i wszystkim zachwyconego. Usta odęte, niecierpliwe. Pewnie smakosz. I, jak to się mówi, „lowelas”. Między nim i Doudou Hendricksem na pewno istnieje współzawodnictwo; dam głowę, że rywalizują z sobą, który więcej zdobyczy zaliczy. Ale na razie przybrali poważne i skupione miny członków rady nadzorczej.

Fouquières wykazuje natomiast kompletny brak zainteresowania. Zmarszczywszy brwi w wyrazie pogardliwej ironii, bazgrze coś na swojej kartce. Co widzi? Do której ze scen przeszłości powraca w marzeniach? Do swego ostatniego spotkania z Lucie Delarue-Mardrus? Hendrickx w pozie pełnej szacunku pochyla się, zadając mu jakieś pytanie. Fouquières odpowiada, nawet na niego nie spojrzawszy. Potem Hendrickx pyta o coś Ganonge’a (czy Gamange’a), „filmowca”, który siedzi przy ostatnim stoliku po prawej. Wraca do mężczyzny o szarobłękitnych włosach. Dochodzi między nimi do małej sprzeczki i słyszę, jak kilkakrotnie powtarzają nazwisko Roland-Michel. Wreszcie „szarobłękitny” – jak go nazywam – podchodzi do mikrofonu i lodowatym głosem oznajmia:

– Panie i panowie, za chwilę podamy państwu wyniki Pucharu Elegancji Houligant.

Znów ogarnia mnie niepokój. Wszystko wokół widzę jak przez mgłę. Zastanawiam się, gdzie też mogą być teraz Yvonne i Meinthe. Czy czekają tam, gdzie się rozstaliśmy, przy ogrodzeniu kortu tenisowego? A jeśli mnie opuścili?

– Pięcioma głosami przeciw czterem – głos „szarobłękitnego” staje się coraz donośniejszy. – Powtarzam, pięcioma głosami przeciw czterem na rzecz naszych przyjaciół, państwa Roland-Michel – powiedział „naszych przyjaciół”, wyraźnie akcentując sylaby, a jego głos był teraz wysoki niczym głos kobiety – znanych i cenionych przez wszystkich, których duchowi sportowemu pragnę w tym miejscu złożyć hołd... i którym, jak osobiście uważam, powinien przypaść w udziale Puchar Elegancji... – walnął pięścią w stół, ale głos łamał mu się coraz bardziej. – Puchar przyznany został – robi przerwę – pannie Yvonne Jacquet, której towarzyszył pan René Meinthe...

Nie kryję, że miałem łzy w oczach.

Mieli jeszcze raz wystąpić przed jury i odebrać puchar. Do widzów dołączyły dzieciaki z plaży i wszyscy czekali teraz ogromnie podekscytowani. Muzycy z orkiestry Sportingu zajęli swoje zwykłe miejsce pośrodku tarasu, pod wielką markizą w biało-zielone pasy. Stroili instrumenty.

Pojawił się dodge. Na jego masce, wpół leżąc, spoczywała Yvonne. Meinthe jechał bardzo powoli. Zsunęła się na ziemię i nieśmiało podeszła do jury. Zebrała mnóstwo oklasków.

Hendrickx zszedł do niej, dzierżąc puchar. Wręczył go, ucałował ją w oba policzki. Potem z gratulacjami podchodzili inni. Uścisnął jej dłoń sam André de Fouquières, a ona nawet nie wiedziała, kim jest ten starszy pan. Dołączył do niej Meinthe, który przesunął wzrokiem po tarasie Sportingu i od razu mnie wypatrzył. Energicznie zamachał ręką, zawołał: „Victor... Victor...”. Podbiegłem. Byłem uratowany. Chciałem ucałować Yvonne, ale otaczało ją zbyt wiele osób. Kilku kelnerów, niosąc po dwie tace z kieliszkami szampana, próbowało utorować sobie przejście. W promieniach słońca zgromadzeni tręcili się kieliszkami, popijali i paplali. Meinthe stał obok mnie, milczący i nieprzenikniony za zasłoną ciemnych okularów.

Parę metrów dalej Hendrickx, niezwykle podekscytowany, przedstawiał Yvonne ciemnowłosą kobietę, Gamonge'a (lub Ganonge'a) i jeszcze dwie czy trzy inne osoby. Myślała o czym innym. O mnie? Nie śmiałem w to uwierzyć.

Towarzystwo stawało się coraz weselsze. Słyszeć było śmiechy, nawoływania, jedni drugich ściskali. Szef orkiestry zwrócił się do Meinthe'a i do mnie z pytaniem, jaki „kawałek” ma zagrać na cześć Pucharu oraz jego „uroczej zwyciężczyni”. Przez moment nie wiedzieliśmy, co powiedzieć, ale ponieważ chwilowo nazywałem się Chmara i czułem w sobie cygańskiego ducha, poprosiłem, by zegrali *Oczy czarne*.

Wieczór dla uczczenia piątego Pucharu Houligant i bohaterki dnia, Yvonne, miał się odbyć w Sainte-Rose. Postanowiła założyć suknię z lamy w kolorze starego złota.

Puchar ustawiła na stoliku nocnym, obok książki Maurois. W rzeczywistości była to statuetka tancerki stojącej na pointach na cokole, na którym gotyckimi literami wygrawerowano: „Puchar Houligant. Pierwsze miejsce”. Niżej rok.

Przed wyjściem pogłaskała go.

– To cudowne, nie uważasz? – zapytała, rzucając mi się na szyję.

Chciała, żebym założył monokl, a ja się zgodziłem, bo był to wieczór niepodobny do innych.

Meinthe ubrany był w garnitur w bladozielonym kolorze, bardzo delikatnym, bardzo świeżym. Przez całą drogę do Voirens pokpiwał sobie z jurorów. „Szarobłękitny” nazywał się Raoul Fossorié i kierował ośrodkiem informacji turystycznej. Ciemnowłosa kobieta była żoną prezesa klubu golfowego w Chavoires; faktycznie, okazjonalnie flirtowała z tym „grubym wołem”, Doudou Hendrickxem. Meinthe go nienawidził. Facet od trzydziestu lat mizdrzący się na narciarskich trasach – powiedział. (Przypomni mi się bohater filmu Yvonne *Liebesbriefe auf der Berg*). W 1943 rozpisywały się o nim „L'Equipe” i „Chamois” z Megève, dziś jednak zbliżał się do pięćdziesiątki i coraz bardziej upodabniał do satyra. W swoje wywody Meinthe co rusz wtrącał: „Prawda, Yvonne?”, „Prawda, Yvonne?”, ironiczne i pełne ukrytych znaczeń. Dlaczego? I jak to się stało, że Yvonne i on tak dobrze wszystkich tych ludzi znali?

Gdy weszliśmy na taras z pergolą w Sainte-Rose, Yvonne powitały wątle oklaski.

Dobiegały od stolika, przy którym siedziało około dziesięciu osób, a wśród nich, na honorowym miejscu, Hendrickx. Pomachał do nas. Wstał fotograf i oślepił nas błyskiem flesza. Zarządca lokalu, Pulli, dostawił dla nas trzy krzesła i z wielką skwapliwością wręczył Yvonne orchideę. Podziękowała mu.

– To dla mnie zaszczyt w tak wielkim dniu, panienko. I gratulacje!

Miał włoski akcent. Ukłonił się Meinthe'owi.

– Pan...? – zwrócił się do mnie z niepewnym uśmiechem, skrępowany, że nie może zwrócić się do mnie po nazwisku.

– Victor Chmara.

– Ach... Chmara?

Zrobił zdziwioną minę, zmarszczył brwi.

– Pan Chmara...

– Tak.

Obrzucił mnie dziwnym spojrzeniem.

– Zaraz się panem zajmę, panie Chmara...

I ruszył w stronę schodów prowadzących do baru na parterze.

Yvonne usiadła obok Hendrickxa, ja i Meinthe zajęliśmy miejsca naprzeciwko nich. Wśród moich sąsiadów rozpoznałem ciemnowłosą kobietę z jury, Tounette i Jackiego Roland-Michelów, mężczyznę o siwych, krótko przystrzyżonych włosach i emanującej energią twarzy byłego lotnika lub wojskowego – pewnie prezes klubu golfowego. Przy końcu stołu siedział Raoul Fossorié i przygryzał zapałkę. Pozostałe trzy czy cztery osoby, między innymi dwie mocno opalone blondynki, widziałem po raz pierwszy.

Tego wieczoru w Sainte-Rose było niewiele osób. Było jeszcze wcześniej. Orkiestra grała motyw modnej ostatnio piosenki, której słowa śpiewał półgłosem jeden z muzyków:

L'amour, c'est comme un jour

Ça s'en va, ça s'en va

L'amour.

Hendrickx otoczył ramieniem Yvonne, ja zaś zastanawiałem się, co mu chodzi po głowie. Odwróciłem się do Meinthe'a, który ukrywał spojrzenie za inną parą okularów słonecznych, tym razem w grubych, szylkretowych oprawkach, i nerwowo bębnił palcami o brzeg stołu. Nie miałem odwagi się do niego odezwać.

– No i co, zadowolona jesteś ze swojego pucharu? – zapytał przymilnym głosem Hendrickx.

Yvonne popatrzyła na mnie z zakłopotaniem.

– To po części również moja zasługa...

Ależ tak, to musiał być porządny gość. Czemu jestem zawsze tak nieufnie nastawiony wobec nowo poznanych ludzi?

– Bo Fossorié nie chciał. Co, Raoul? Nie chciałeś... – ciągnął.

I roześmiał się. Fossorié zaciągnął się dymem papierosa. Udawał kamienny spokój.

– Ależ skąd, Daniel, skąd. Mylisz się...

Mełł sylaby w sposób, który wydawał mi się obsceniczny.

– Hipokryta! – wykrzyknął Hendrickx bez cienia złośliwości.

Replika ta rozśmieszyła ciemnowłosą kobietę, obie blondynki (raptem przypomniałem sobie nazwisko jednej z nich: Meg Devillers), a nawet faceta o wyglądzie byłego oficera kawalerii. Roland-Michelowie, acz bez większego przekonania, próbowali dzielić wesołość innych. Yvonne puściła do mnie oko. Meinthe wciąż bębnił palcami.

– Twoimi faworytami – ciągnął Hendrickx – byli Jackie i Tounette... Co, Raoul? – A potem, zwracając się do Yvonne: – Powinnaś uścisnąć dłonie naszych przyjaciół, a twych niefortunnych rywali, Roland-Michelów...

Yvonne zrobiła to. Jackie przybrał jowialny wyraz twarzy, ale Tounette Roland-Michel popatrzyła Yvonne prosto w oczy. Wyglądała, jakby miała do niej pretensję.

– Jeden z twoich wielbicieli? – spytał Hendrickx, wskazując na mnie.

– To mój narzeczony – odparła zuchowato Yvonne.

Meinthe uniósł głowę. Na jego lewym policzku i w kącikach ust znów pojawiły się tiki.

– Zapomnieliśmy przedstawić ci naszego przyjaciela – odezwał się teatralnym tonem. – Pan hrabia Victor Chmara.

Wymówił słowo „hrabia” akcentując sylaby i znacząc moment przerwy. A potem, zwracając się do mnie, ciągnął:

– Ma pan przed sobą jednego z asów narciarstwa francuskiego, Daniela Hendrickxa.

Ten uśmiechnął się, lecz wyczuwałem, że nie ufa trudnym do przewidzenia reakcjom Meinthe’a. Widocznie znał go od dawna.

– Jak sądzę, nie było pana jeszcze na świecie, gdy Daniel Hendrickx zwyciężył w kombinacji...

– Po co pan mówi takie rzeczy, René? – spytał Fossorié bardzo łagodnie, bardzo miękko, jeszcze bardziej międląc zgłoski; wydawało się, że z jego ust zaraz zaczną się wydobywać kawałki smakołyku sprzedawanego na jarmarkach, zwanego „pańską skórka”.

– Byłam przy tym, jak wygrał slalom i kombinację – oświadczyła jedna z opalonych blondynek, Meg Devillers – i wcale nie było to tak znów dawno temu...

Hendrickx wzruszył ramionami i korzystając, że orkiestra zagrała pierwsze takty slowfoxa, zaprosił Yvonne do tańca. Dołączył do nich Fossorié w towarzystwie Meg Devillers. Prezes klubu golfowego pociągnął za sobą drugą opaloną blondynkę. Za nimi na parkiet podążyli Roland-Michelowie. Trzymali się za ręce. Meinthe skłonił się przed ciemnowłosą kobietą:

– Zatańczmy więc i my...

Zostałem przy stoliku sam. Nie spuszczałem oczu z Yvonne i Hendrickxa. Z daleka prezentował się dość okazale; mierzył z metr osiemdziesiąt–osiemdziesiąt pięć wzrostu, a otulające parkiet światło – błękitne z domieszką różu – łagodziło rysy jego twarzy, tuszując jej nalanie i wulgarność. Mocno tulił do siebie Yvonne. Co robić? Dać mu w gębę? Trzęsły mi się ręce. Mogłem oczywiście, korzystając z efektu zaskoczenia, zaserwować mu cios prosto w twarz. Albo zejść go od tyłu i rozwalić mu na łbie butelkę. Ale po co? Przede wszystkim ośmieszyłbym się przed Yvonne. Poza tym takie zachowanie kłóciło się z moim łagodnym usposobieniem, wrodzonym

pesymizmem i typowym dla mnie pewnego rodzaju tchórzostwem.

Orkiestra zaczęła grać następną powolną melodię i wszystkie pary pozostały na parkiecie. Hendrickx przytulał Yvonne coraz mocniej. Dlaczego mu na to pozwala? Daremnie czatowałem na jakiś jej, rzucony ukradkiem, porozumiewawczy uśmiech. Pulli, otyły, łagodny zarządca, zbliżył się ostrożnie do mojego stolika. Stanął tuż obok mnie, położył dłonie na oparciu jednego z pustych krzeseł. Chciał porozmawiać. Ale nie miałem na to ochoty.

– Panie Chmara... Panie Chmara...

Przez uprzejmość odwróciłem się do niego.

– Niech mi pan powie: czy jest pan spokrewniony z tymi Chmarami z Aleksandrii?

Pochylał się do mnie ze złaknionym spojrzeniem i nagle zrozumiałem, dlaczego wybrałem to właśnie nazwisko, wyrosłe, jak sądziłem, z mojej wyobraźni: należało do pewnej rodziny aleksandryjskiej, o której często opowiadał mi ojciec.

– Tak – odparłem. – To moi krewni.

– Więc pochodzi pan z Egiptu?

– W pewnym stopniu.

Uśmiechnął się wzruszony. Chciał dowiedzieć się czegoś więcej, a ja mógłbym mu opowiedzieć o willi w Sidi-Birsh, gdzie spędziłem kilka lat mojego dzieciństwa, o pałacu Abdyna i zajeździe Pod Piramidami, o których zachowałem bardzo mgliste wspomnienie. Jego z kolei mógłbym zapytać, czy był krewnym Antonia Pullego, jednego z podejrzanych znajomków mojego ojca, który pełnił funkcję powiernika i „sekretarza” króla Faruka. Za bardzo jednak byłem zaabsorbowany Yvonne i Hendricksem.

Wciąż tańczyła z tym starym ramolem, który jak nic farbował włosy. Może jednak robiła to z jakiejś konkretnej przyczyny, którą mi zdradzi, gdy tylko znajdziemy się sami. Lub też tylko tak sobie, bez powodu. A jeśli o mnie zapomniała? Nigdy zbytnio nie ufałem swojej tożsamości i tknęła mnie myśl, że a nuż mnie nie rozpozna? Pulli przysiadł na miejscu Meinthe'a:

– Znałem w Kairze Henriego Chmarę... Spotykaliśmy się co wieczór u Groppiego albo w „Mena House”.

Zdawać by się mogło, że powierza mi jakieś tajemnice państwowe.

– Zaraz... to było tego roku, kiedy widywano króla z tą piosenkarką francuską...

No, wie pan?

– A, tak...

Mówił coraz ciszej. Bał się niewidzialnych policjantów.

– A pan, czy pan też tam mieszkał?

Oświetlające parkiet reflektory rozsiewały już tylko słabe, różowe światło. Na moment straciłem z oczu Yvonne i Hendrickxa, ale oto znów wyłonili się zza Meinthe'a, Meg Devillers, Fossoriégo i Tounette Roland-Michel. Ta ostatnia rzuciła jakąś uwagę nad ramieniem męża. Yvonne roześmiała się.

– Egiptu nie sposób zapomnieć, sam pan rozumie... Nie... Bywają takie wieczory, kiedy zadaję sobie pytanie, co ja tu właściwie robię.

Nagle ja również zadałem sobie to pytanie. Dlaczego nie zostałem w pensjonacie Pod Lipami, oddając się lekturze moich książek i czasopism filmowych? Pulli położył mi dłoń na ramieniu.

– Ileż ja bym dał, żeby móc znaleźć się znowu na tarasie Pastourdis... Jak tu zapomnieć o Egipcie?

– Ależ to wszystko już na pewno nie istnieje – mruknąłem.

– Naprawdę tak pan myśli?

Na parkiecie, korzystając z półmroku, Hendrickx położył jej rękę na pupie.

Do naszego stolika wracał Meinthe. Sam. Ciemnowłosa kobieta tańczyła z innym partnerem. Opadł na krzesło.

– O czym to rozmawialiście? – zdjął swoje ciemne okulary i popatrzył na mnie, uśmiechając się z sympatią. – Dam głowę, że Pulli opowiadał panu swoje egipskie historyjki...

– Pan również pochodzi z Aleksandrii – oświadczył sucho Pulli.

– Pan, Victor?

Hendrickx próbował pocałować ją w szyję, ale mu nie pozwoliła. Odchyliła się do

tyłu.

– Pulli prowadzi ten lokal od dziesięciu lat – mówił Meinthe. – Zimą pracuje w Genewie. Cóż, nigdy nie zdołał przyzwyczać się do gór.

Zauważył, że przyglądam się tańczącej Yvonne, i próbował skierować moją uwagę na inne tory.

– Jeśli przyjedzie pan zimą do Genewy – mówił – będę musiał pana tam zaprowadzić, Victor. Pulli w najdrobniejszych szczegółach odtworzył restaurację, która istniała kiedyś w Kairze. Jak ona się nazywała?

– Le Khédival.

– Kiedy w niej jest, wydaje mu się, że znów jest w Egipcie, i chandra nie dokucza mu tak bardzo. Prawda, Pulli?

– Przeklęte góry!

– Nie trzeba mieć chandry – nucił Meinthe. – Żadnej chandry. Nigdy chandry. Nigdy.

Zaczęli następny taniec. Meinthe nachylił się do mnie:

– Niechże się pan tym tak nie przejmuje, Victor.

Do stolika wrócili Roland-Michelowie. Potem Fossorié i jasnowłosa Meg Devillers. Wreszcie Yvonne i Hendrickx. Usiadła obok i ujęła mnie za rękę. Więc o mnie nie zapomniała. Hendrickx przyglądał mi się z ciekawością.

– To jest pan narzeczonym Yvonne?

– A tak – powiedział Meinthe, nie zostawiając mi czasu na odpowiedź. – I jak wszystko dobrze pójdzie, wkrótce tytułować się będzie hrabiną Yvonne Chmara. Co ty na to?

Prowokował go, ale Hendrickx nadal się uśmiechał.

– To brzmi lepiej niż Yvonne Hendrickx, co? – dorzucił Meinthe.

– A czym zajmuje się ten młody człowiek? – zapytał Hendrickx afektowanym tonem.

– Niczym – odparłem, kręcąc monoklem wokół lewego oka. – *Niczym, niczym.*

– Myślałeś pewnie, że ten młody człowiek jest instruktorem narciarstwa albo sklepikarzem jak ty? – ciągnął Meinthe.

– Przymknij się, bo inaczej rozkwaszę ci twarz – powiedział Hendrickx i nie wiadomo było, czy grozi, czy żartuje.

Yvonne paznokciem palca wskazującego delikatnie drapała wnętrze swojej dłoni. Myślała o czymś innym. O czym? Jednoczesne przybycie ciemnowłosej kobiety, jej męża o energicznej twarzy oraz drugiej blondynki w niczym nie rozładowało atmosfery. Wszyscy popatrywali krzywo na Meinthe'a. Co znów zrobi? Obrazi Hendrickxa? Ciśnie mu popielniczką w twarz? Wywoła jakiś skandal? W końcu prezes klubu golfowego zwrócił się do niego tonem towarzyskiej konwersacji:

– Nadal pan praktykuje w Genewie, doktorze?

Meinthe odpowiedział mu ze skwapliwością wzorowego ucznia:

– Jak najbardziej, panie Tessier.

– To niezwykle, jak bardzo przypomina pan swojego ojca...

Meinthe uśmiechnął się smutno.

– Och, proszę tak nie mówić... mój ojciec był o wiele więcej wart ode mnie.

Yvonne opierała się o mnie ramieniem i ten zwykły dotyk działał na mnie niezwykle ekscytująco. Kim natomiast był jej ojciec? Choć Hendrickx okazywał jej sympatię (czy raczej zbyt blisko przytulał ją w tańcu), to zauważyłem, że Tessier, jego żona i Fossorié kompletnie ją ignorowali. Podobnie jak Roland-Michelowie. Na twarzy Tounette Roland-Michel, gdy Yvonne uściśnęła jej dłoń, dostrzegłem wręcz lekceważenie z domieszką rozbawienia. Yvonne nie należała do ich środowiska. Za to Meinthe'a zdawali się traktować jak równego sobie i okazywali mu pewną pobłażliwość. A ja? Czyż nie byłem w ich oczach jedynie „nastoletnim” wielbicielem rock-and-rolla? A zresztą może i nie. Moja powaga, mój monokl i szlachecki tytuł mimo wszystko trochę ich intrygowały. Zwłaszcza Hendrickxa.

– Był pan mistrzem narciarskim? – zwróciłem się do niego z zapytaniem.

– Tak, lecz fakt ten niknie w pomroce dziejów – rzucił Meinthe.

– Niech pan sobie wyobrazi – odezwał się Hendrickx, kładąc mi dłoń na ramieniu – że znałem tego młokosa, kiedy miał pięć lat. Bawił się lalkami.

Na szczęście w tym momencie orkiestra zagrała cza-czę. Minęła północ i nadciągały gromady nowych gości. Na parkiecie zrobiło się ciasno. Hendrickx przywołał Pullego:

– Przynieś nam szampana i uprzedź orkiestrę.

Mówiąc to, puścił do niego oko, na co Pulli odpowiedział bliżej nieokreślonym pozdrowieniem wojskowym, przykładając palec wskazujący powyżej brwi.

– Jak pan sądzi, doktorze, czy na problemy z krążeniem dobrze robi aspiryna? – zapytał prezes klubu golfowego. – Czytałem coś w tym rodzaju w „Science et Vie”.

Meinthe nie usłyszał. Yvonne opierała głowę na moim ramieniu. Orkiestra przestała grać. Pulli przyniósł tacę z kieliszkami i dwiema butelkami szampana. Hendrickx wstał i zamachał ręką. Tańczące pary i inni goście obrócili się w stronę naszego stolika.

– Panie i panowie! – zawołał Hendrickx. – Wypijmy za zdrowie szczęśliwej zdobywczyni Pucharu Houligant, panny Yvonne Jacquet!

Dał znak Yvonne, żeby wstała. Podnieśliśmy się wszyscy. Wypiliśmy, a ponieważ czułem skierowane na nas spojrzenia, udałem, że złapał mnie atak kaszlu.

– A teraz, panie i panowie – podjął pompatycznym tonem Hendrickx – proszę o oklaski dla naszej młodej, uroczej Yvonne Jacquet.

Zewsząd rozległy się brawa. Przytuliła się do mnie onieśmielona. Monokl wypadł mi z oka. Oklaski przedłużały się, a ja nie śmiałem się ruszyć ani o centymetr. Wpatrywałem się we fryzurę Fossoriégo, w jej liczne, wyszukane, splatające się z sobą fale, w tę dziwną szaroniebieską czuprynę, wyglądającą jak ozdobny hełm.

Orkiestra podjęła przerwana melodię. Powolna cza-cza, w której można było rozpoznać temat z *Wiosny w Portugalii*.

Meinthe wstał:

– Jeśli nie ma pan nic przeciwko temu, Hendrickx (po raz pierwszy zwrócił się do niego per pan) – opuszczę pana, jak również to eleganckie grono. – Po czym odwrócił się do Yvonne i do mnie: – Odwieźć was?

Odpowiedziałem nagle: „Tak”. Yvonne wstała. Uścisnęła dłonie Fossoriégo

i prezesa klubu golfowego, ale nie miała śmiałości pożegnać się z Roland-Michelami i dwiema blondynkami.

– To kiedy ten ślub? – zapytał Hendrickx, wskazując na nas palcem.

– Od razu, jak tylko opuścimy tę gównianą francuską miéscinę – odparłem bez namysłu.

Popatrzyli na mnie zaszokowani.

Dlaczego w tak głupi i grubiański sposób wyraziłem się o francuskim miasteczku? Do dziś zadaję sobie to pytanie i jest mi z tego powodu przykro. Nawet Meinthe wyglądał na zmartwionego, widząc u mnie takie zachowanie.

– Chodź – powiedziała Yvonne, ujmując mnie za rękę.

Hendrickx, oniemiały wpatrywał się we mnie wytrzeszczonymi oczami.

Niechcący potrąciłem Pullego.

– Wychodzi pan, panie Chmara?

Ścisnął moją dłoń, próbując mnie zatrzymać.

– Jeszcze tu wrócę, wrócę – obiecałem.

– O tak, zapraszam. Pogadamy znowu o wszystkich tych sprawach...

I wykonał nieokreślony gest ręką. Przeszliśmy przez parkiet. Za nami kroczył Meinthe. Gra świateł projektorów stwarzała złudzenie, że na tańczące pary wielkimi płatkami pada śnieg. Yvonne ciągnęła mnie za sobą – z trudem torowaliśmy sobie drogę.

Nim zeszedliśmy na dół, zapragnąłem spojrzeć raz jeszcze na stół, który opuściliśmy. Cała moja wściekłość ulotniła się i teraz żałowałem, że tak mnie poniosło.

– Idziesz? – powtarzała Yvonne. – Idziesz?

– O czym pan tak myśli, Victor? – spytał Meinthe i poklepał mnie po ramieniu.

Zatrzymałem się u szczytu schodów, na nowo zahipnotyzowany czupryną Fossoriégo. Lśniła. Musiał smarować ją jakimś rodzajem fosforyzującej brylantyny. Iluż to trzeba było wysiłków i jakiej cierpliwości, by co rano odbudowywać na nowo tę szaroniebieską tortową piramidę.

W dodge'u Meinthe powiedział, że głupio zmarnowaliśmy wieczór. Z winy Hendrickxa, który, pod pretekstem, że będą wszyscy członkowie jury, a także wielu dziennikarzy, namówił Yvonne, by przyszła. Nigdy nie należy wierzyć temu „łajdakowi”

– Ależ tak, moja droga, sama wiesz najlepiej – dorzucił rozjątrzonym tonem. – Dał ci chociaż czek?

– Naturalnie.

I wtajemniczyli mnie w kulisy tego wieczoru: to Hendrickx ufundował pięć lat temu Puchar Houligant. Raz na dwa lata przyznawano go zimą w Alpe d'Huez lub w Megève. Podjął tę inicjatywę powodowany snobizmem (do jury zapraszał różne osobistości z kręgów elity towarzyskiej), reklamą własnej osoby (dzienniki zamieszczające sprawozdania z Pucharu, wymieniając nazwisko Hendrickxa, przy okazji przypominały jego sukcesy sportowe), a także swą słabością do pięknych dziewcząt. Za obietnicę zdobycia pucharu ulegała mu każda idiotka. Czek opiewał na sumę ośmiuset tysięcy franków. W jury do Hendrickxa należał głos decydujący. Fossoriému bardzo zależało, ażeby na ten „konkurs elegancji”, rokrocznie odnoszący duży sukces, nieco większy wpływ mógł mieć ośrodek informacji turystycznej. Stąd owa skryta rywalizacja między obu mężczyznami.

– No cóż, mój drogi Victorze – stwierdził na koniec Meinthe – sam pan widzi, jak małosłowna bywa prowincja.

Odwrócił się i posłał mi smutny uśmiech. Podjechaliśmy pod kasyno. Yvonne poprosiła Meinthe'a, żeby nas tu zostawił. Wrócimy do hotelu piechotą.

– Zadzwońcie do mnie jutro. – Wydawało się, że jest mu przykro, że zostawiamy go samego. Wychylił się przez drzwi: – I zapomnijcie o tym strasznym wieczorze.

Ruszył gwałtownie, jakby siłą chciał się od nas oderwać. Pojechał ulicą Royale, a ja zadałem sobie pytanie, gdzie spędzi noc.

Przez jakiś czas podziwialiśmy mieniący się kolorami wodotrysk. Podeszliśmy najbliżej, jak się dało; na twarzach poczuliśmy kropelki wody. Pchnąłem Yvonne. Broniła się z krzykiem. Ona również próbowała mnie popchnąć. Nasze śmiechy niosły się echem po opustoszałej esplanadzie. Kelnerzy z Taverne kończyli ustawiać stoliki.

Prawie pierwsza w nocy. Noc była ciepła, a ja poczułem niemal upojenie na myśl, że lato dopiero się zaczyna i czeka nas wiele jeszcze dni, które spędzimy razem, spacerując wieczorami albo siedząc w pokoju i słuchając stłumionego, niedorzecznego stukotu piłeczek tenisowych.

Na pierwszym piętrze kasyna w wielkich niszach okiennych sali do bakarata paliło się światło. Widać było jakieś sylwetki. Obeszliśmy dookoła budynek, na którego fasadzie okrągłymi literami wypisane było KASYNO, przeszliśmy obok wejścia Brummel, skąd dobiegała muzyka. Tego lata słyszało się wciąż te same melodie i piosenki.

Szliśmy aleją d'Albigny, chodnikiem po prawej stronie, tym biegnącym wzdłuż ogrodów prefektury. Ulicą przejeżdżały nieliczne samochody. Zapytałem Yvonne, dlaczego pozwoliła, żeby Hendrickx położył jej łapę na pupie. Odparła, że nie miało to przecież żadnego znaczenia. Żadnego. Musiała być miła dla Hendrickxa, gdyż to dzięki niemu zdobyła puchar i dostała czek na osiemset tysięcy franków. Powiedziałem, że moim zdaniem za pozwolenie położenia sobie łapy na pupie powinno się zażądać o wiele więcej niż te osiemset tysięcy franków, a tak w ogóle to Puchar Elegancji i tak nie ma kompletnie żadnego znaczenia. Żadnego. Nikt, z wyjątkiem paru prowincjuszy w tej zapadłej dziurze, nie wiedział, że Puchar w ogóle istnieje. Ten Puchar jest groteskowy. I żałosny. Może nie? A przede wszystkim, cóż na tym „sabaudzkim zadupiu” mogło się wiedzieć o elegancji? No co? Urażonym głosiłem odparła, że uważa Hendrickxa za „ogromnie czarującego” i że była zachwycona, mogąc z nim zatańczyć. Oświadczyłem wtedy – próbując wyraźnie wymawiać sylaby, ale nic to nie dało, połowę i tak połykałem – że Hendrickx ma łeb wołu i „nisko tyłek, jak wszyscy Francuzi”.

– Przecież ty też jesteś Francuzem – powiedziała.

– O, nie. Ja nie mam nic wspólnego z Francuzami. Wy, Francuzi, niezdolni jesteście pojąć, czym jest prawdziwe szlachectwo, prawdziwe...

Roześmiała się. Nie spieszyłem jej. Wówczas – udając najwyższą obojętność – oświadczyłem, że na przyszłość, w jej własnym interesie będzie nie przechwalać się zbyt Pucharem Houligant, jeśli nie chce narazić się na drwiny. Tabuny dziewczyn

zdobywały już podobne śmieszne pucharki, żeby potem popaść w kompletne zapomnienie. A ileż innych nakręciło przez przypadek jakieś filmidło w rodzaju *Liebesbriefe auf der Berg...* I na tym kończyła się ich kariera. Wiele powołanych, niewiele wybranych.

– Uważasz ten film za kompletną chałgę? – zapytała.

– Kompletną.

Tym razem zrobiło jej się chyba naprawdę przykro. Szła obok mnie bez słowa. Usiedliśmy w szałasie, czekając na kolejkę. Metodycznie darła puste pudełko po papierosach, a potem rzucała na ziemię strzępki papieru wielkości konfetti. Ta skrupulatność tak mnie rozczuliła, że ucałowałem jej dłoń.

Na wysokości Saint-Charles Carabacel kolejka zatrzymała się. Pewnie awaria, ale o tej porze i tak nikt nie przyjdzie, żeby ją usunąć. Była jeszcze bardziej namiętna niż zwykle. Myślę, że musiała mnie jednak trochę kochać. Czasem spoglądaliśmy przez okno – znajdowaliśmy się między niebem a ziemią, z widokiem na jezioro i dachy w dole. Świtało.

Nazajutrz, na trzeciej stronie „Echo-Liberté” ukazał się wielki artykuł.

Tytuł głosił: „Puchar Elegancji Houligant wręczony po raz piąty”.

Wczoraj późnym przedpołudniem licznie zgromadzona w Sportingu publiczność z zainteresowaniem śledziła przebieg rywalizacji o piąty Puchar Elegancji Houligant. Organizatorzy, którzy zeszłego roku wręczyli puchar zimą w Megeve, w tym roku wybrali sezon letni. Słońce dopisało. Nigdy jeszcze nie świeciło równie promiennie. Większość widzów była w strojach plażowych. Odnotowaliśmy obecność pana Jeana Marchata z Comédie-Française, który przybył dać kilka przedstawień Słuchajcie uważnie, panowie w teatrze Casino.

W jury jak zwykle zasiadały różne znane osobistości. Jego przewodniczącym był pan André de Fouquières, który wspaniałomyślnie zechciał użyczyć swego wieloletniego doświadczenia; trzeba bowiem wiedzieć, że przez ostatnie pięćdziesiąt lat pan de Fouquières był uczestnikiem i wytrawnym znawcą życia wyższych sfer – od Paryża po Deauville, Cannes i Touquet.

Obok niego w jury zasiadali: Daniel Hendrickx, powszechnie znany as sportowy i sponsor Pucharu; Fossorié z ośrodka informacji turystycznej; Gamange, filmowiec; państwo Tessier

z klubu golfowego; państwo Sandoz z Windsoru; podprefekt P.A. Roquevillard. Ubolewamy z powodu nieobecności tancerza José Torresa, który w ostatniej chwili musiał odwołać swój przyjazd.

Udział większości uczestników przyniósł zaszczyt konkursowi pucharowemu; szczególną uwagę zwracali, gorąco oklaskiwani, państwo Roland-Michel z Lyonu, jak co roku spędzający wakacje w swej willi w Chavoires.

Po wielu turach głosowania, palma pierwszeństwa przypadła jednak dwudziestodwuletniej pannie Yvonne Jacquet, czarującej młodej rudowłosej kobiecie ubranej na białą, która wystąpiła w towarzystwie ogromnego doga. Wdzięk i nonkonformizm panny Jacquet zrobiły wielkie wrażenie na jury.

Panna Jacquet urodziła się i wychowała w naszym mieście, skąd pochodzi jej rodzina. Niedawno zadebiutowała w filmie, który niedaleko stąd nakręcił pewien niemiecki reżyser. Pannie Jacquet, naszej krajance, życzymy powodzenia i sukcesów.

Towarzyszył jej pan René Meinthe, syn doktora Henriego Meinthe'a. U niejednego nazwisko to obudzi wiele wspomnień. Pochodzący ze starej rodziny sabaudzkiej doktor Henri Meinthe był jednym z bohaterów i męczenników Ruchu Oporu. Jego imieniem nazwano jedną z ulic naszego miasta.

Artykuł ilustrowała wielka fotografia. Zrobiono ją w Sainte-Rose, w momencie gdy opuszczaliśmy lokal. Wszyscy troje stoimy, Yvonne i ja obok siebie, Meinthe nieco z tyłu. „Panna Yvonne Jacquet, pan René Meinthe oraz jeden z ich przyjaciół, hrabia Victor Chmara” – głosił podpis pod spodem. Zdjęcie, chociaż wydrukowane na papierze gazetowym, było bardzo wyraźne. Yvonne i ja mieliśmy poważne miny. Meinthe uśmiechał się. Wpatrywaliśmy się w jakiś punkt na horyzoncie. Zdjęcie to, nim i ono trafiło w końcu między inne pamiątki, przez wiele lat nosiłem przy sobie, a pewnego wieczoru, wpatrując się w nie z zadumą, nie mogłem się powstrzymać i czerwonym ołówkiem napisałem na nim w poprzek: „Królowie jednego dnia”.

ROZDZIAŁ VIII

Porto, jak najjaśniejsze, maleńka – powtarza Meinthe. Barmanka nie rozumie.
– Jasne?

– Bardzo, ale to bardzo jasne.

Ale mówi to bez przekonania.

Przesuwa dłonią po niedbale ogolonych policzkach. Dwanaście lat temu golił się po dwa, trzy razy dziennie. W schowku na rękawiczki w dodge’u trzymał zawsze elektryczną maszynkę do golenia, choć, jak twierdził, w jego przypadku nie zdawała egzaminu, tak twardy miał zarost. Zdarzało mu się łamać na nim żyłki z najtwardszej nawet stali.

Barmanka wraca z butelką sandemana, napełnia mu kieliszek.

– Nie mam porto... jasnego.

Wyszeptała „jasnego”, jakby to było jakieś wstydlive słowo.

– Nic nie szkodzi, maleńka – odpowiada Meinthe.

I uśmiecha się. Nagle odmłodniał. Dmucha w kieliszek i przygląda się zmarszczkom na powierzchni trunku.

– Nie masz słomki, maleńka?

Dziewczyna niechętnie, z naburmuszoną miną mu ją przynosi. Ma nie więcej niż dwadzieścia lat. Pewnie myśli: „Do której ten łązega będzie tu tak siedział? Albo ten drugi w głębi, w kraciastej marynarce?”. Jak co wieczór, około jedenastej zmieniała Geneviève, barmankę, która pracowała tu już na początku lat sześćdziesiątych, a za

dnia prowadziła bufet w Sportingu, obok kabin. Pełna wdzięku blondynka. Miała, jeśli dobrze pamiętam, szmery w sercu.

Meinthe odwrócił się do mężczyzny w marynarce w kratę. Ta marynarka to jedyny element, który go wyróżnia. Bo poza tym wszystko w jego twarzy jest przeciętne: czarny wąsik, wydatny nos, zaczesane do tyłu włosy. Choć jeszcze przed chwilą sprawiał wrażenie pijanego, teraz siedzi wyprostowany, z wyrazem zadufania w kąciku ust.

– Zechce mnie pani połączyć – głos jest matowy i niezdecydowany – z numerem 233 w Chambéry...

Barmanka wykręca numer. Po drugiej stronie ktoś podnosi słuchawkę. Ale mężczyzna w kraciastej marynarce dalej siedzi sztywno przy stoliku.

– Proszę pana, ktoś jest przy telefonie – niepokoje się barmanka.

Tamten nie rusza się nawet o milimetr. Ma wytrzeszczone oczy i lekko wysunięty do przodu podbródek.

– Proszę pana...

Nawet nie drgnie. Barmanka odkłada słuchawkę. Zaczyna się chyba trochę niepokoić. Dziwni są jednak ci dwaj klienci... Po kilku minutach tamten podejmuje głosem jeszcze bardziej niewyraźnym:

– Zechce mnie pani połączyć... z numerem 233 w Chambéry...

Barmanka nie rusza się. Niezrażony powtarza:

– Zechce mnie pani połączyć...

Dziewczyna wzrusza ramionami. Wtedy Meinthe pochyła się do telefonu i sam wykręca numer. Usłyszawszy głos, wyciąga słuchawkę do mężczyzny w kraciastej marynarce, lecz ten nadal siedzi nieruchomo. Wpatruje się w Meinthe'a szeroko otwartymi oczami.

– No, proszę pana – szepcze Meinthe. – No...

W końcu kładzie słuchawkę na barze i wzrusza ramionami.

– Ma pani może ochotę iść już spać? – pyta barmanki. – Bo nie chciałbym pani zatrzymywać.

– Nie. Zresztą jest otwarte do drugiej rano... przyjdą inni.

– Inni?

– Jest kongres. Tutaj wylądują. – Nalewa sobie szklanę coca-coli.

– Zimą nie jest tu specjalnie wesoło, co? – stwierdza Meinthe.

– Ja tam wyjeżdżam do Paryża – oświadcza barmanka zaczepnym tonem.

– Ma pani rację.

Klient z tyłu pstryknął palcami.

– Poproszę o jeszcze jedno *dry*. – Po czym dorzuca: – I 233 w Chambéry...

Meinthe ponownie wykręca numer i nie odwracając się, kładzie słuchawkę na stołku obok mężczyzny. Dziewczyna wybucha niepohamowanym śmiechem. Meinthe unosi głowę i nad butelkami aperitifów wzrok jego napotyka stare zdjęcia Emile'a Allais i Jamesa Coutteta. Obok nich powieszono zdjęcie Daniela Hendrickxa, który przed kilkoma laty zginął w wypadku samochodowym. To z pewnością inicjatywa drugiej barmanki, Geneviève. Kochała się w Hendrickxie, gdy pracowała w Sportingu. W czasach Pucharu Houligant.

ROZDZIAŁ IX

Gdzie może być teraz ten puchar? W czeluściach jakiej szafy? Jakiej rupieciarni? Ostatnio służył nam jako popielniczka. Cokół, który podtrzymywał tancerkę, miał kolisty występ, na którym gasiliśmy papierosy. Musieliśmy zostawić go w pokoju w hotelu, choć dziwi mnie, mnie – tak przecież przywiązanego do przedmiotów – żeśmy go z sobą nie zabrali.

A z początku wydawało się, że Yvonne jest nim bardzo przejęta. Ustawiła go na poczesnym miejscu, na biurku w salonie. Był przecież początkiem jej kariery. Po nim przyjdą Nike i Oscary. Później z rozrzewnieniem będzie wspominać go na spotkaniach z dziennikarzami – nie miałem najmniejszych wątpliwości, że Yvonne zostanie gwiazdą. Tymczasem w łazience przypięliśmy wielki artykuł z „L’Echo-Liberté”.

Całymi dniami próżnowaliśmy. Wstawaliśmy dość wcześnie. Rankiem często panowała mgła – czy raczej unosiły się nad ziemią błękitne opary, wyzwalające nas od prawa ciężkości. Czuliśmy się lekko, tak lekko... Schodząc w dół bulwarem Carabacel, ledwo dotykaliśmy chodnika. Dziewiąta. Wkrótce tę delikatną mgiełkę rozproszy słońce. Na plaży w Sportingu nie było jeszcze nikogo. Jedyne żywe istoty byliśmy my i jeden z kąpielowych, ubrany na biało, ten który wydawał leżaki i parasole. Yvonne miała na sobie dwuczęściowy kostium w kolorze opalizującej bieli, ja pożyczony od niej szlafrok. Szła popływać. Przyglądałem się jej. Pies również wiódł za nią spojrzeniem. Machała do mnie ręką i śmiejąc się, wołała, żebym do niej dołączył. Mówiłem sobie, że to wszystko jest zbyt piękne i że wkrótce jak nic nastąpi

katastrofa. Dwunastego lipca 1939 roku – rozmyślałem – podobny do mnie facet w szlafroku kąpielowym w czerwono-zielone pasy przyglądał się swej narzeczonej, pływającej w basenie hotelu Eden-Roc. On tak samo jak ja bał się słuchać radia. Wojna nie ominie go nawet tu, w Cap d'Antibes. W głowie kłębiły mu się nazwy miejsc, w których mógłby znaleźć schronienie, ale na ucieczkę nie starczy mu czasu. Na kilka sekund ogarniało mnie niepojęte przerażenie, a potem wychodziła z wody i kładła się obok mnie, żeby się poopalać.

Około jedenastej, kiedy do Sportingu zaczynały ścigać tłumy, chroniliśmy się w małej zatoczce. Można było się do niej dostać z tarasu restauracji po zapadających się schodach, pamiętających jeszcze czasy Gordon-Gramme'a. W dole kamienista i skalista plaża; malutki, składający się z jednego pomieszczenia domek, z oknami, z okiennicami. Na drzwiach, ledwie trzymających się w zawiasach, dwa inicjały wyrzeźbione w drewnie gotyckimi literami: G-G, Gordon-Gramme, i data: 1903. Prawdopodobnie sam zbudował ten domek lalki; przychodził tu oddawać się rozmyślaniom. Subtelny i przezorny Gordon-Gramme. Gdy słońce przygrzewało zbyt mocno, chowaliśmy się na chwilę do środka. Półmrok. Na progu plama światła. W powietrzu unosił się lekki zapach pleśni, do którego w końcu przywykliśmy. Odgłos fali przyboju, monotonny i kojący jak stukot piłeczek tenisowych. Zamykaliśmy za sobą drzwi.

Kąpała się i kładła na słońcu. Ja, wzorem mych orientalnych przodków, wołałem cień. Wczesnym popołudniem wracaliśmy do Hermitage'u i do siódmej, ósmej wieczorem nie wychodziliśmy z pokoju. Był tam bardzo szeroki balkon, Yvonne kładła się na pośrodku. Sadowiłem się obok niej w korkowym kasku na głowie – jednej z nielicznych pamiątek po ojcu, do której przywiązany byłem tym więcej, że razem go kupowaliśmy. Było to w sklepie Sport i Klimat, na rogu bulwaru Saint-Germain i ulicy Saint-Dominique. Miałem osiem lat, a mój ojciec wybierał się właśnie do Brazzaville. Co zamierzał tam robić? Nigdy mi nie powiedział.

Schodziłem do hallu po czasopisma. Ze względu na zagraniczną klientelę mieli tu większość tytułów europejskich. Kupowałem wszystkie, jak leci: „Oggi”, „Life”,

„Cinéma”, „Der Stern”, „Confidential”... Pobieźnie przebiegałem wzrokiem wielkie tytuły w dziennikach. Ważne wydarzenia w Algierii, ale także w metropolii i na świecie. Nie chciałem wiedzieć. Czuję ucisk w gardle. Wolałbym, żeby chociaż w ilustrowanych magazynach nie mówiono o tym wszystkim aż tyle. Nie. Nie. Nade wszystko unikać tematów poważnych. Znowu ogarniała mnie panika. Żeby się uspokoić, łykałem w barze jedną alexandrę i z plikiem magazynów wchodziłem na górę. Czytaliśmy je, leżąc na łóżku albo na podłodze, naprzeciw otwartych drzwi balkonowych, pośród złocistych plam ostatnich promieni słońca. Córka Lany Turner zasztyletowała kochankę matki. Errol Flynn zmarł na zawał serca i zdążył jeszcze swojej młodej przyjaciółce, która zapytała go, gdzie może strząsnąć popiół z papierosa, wskazać otwarty pysk wypchanego lamparta. Henri Garat umarł jako kloszard. A w wypadku samochodowym koło Suresnes zginął książę Ali Khan. Innych, szczęśliwych wydarzeń już nie pamiętam. Wycinaliśmy parę zdjęć. Przypinaliśmy je na ścianach; nie wyglądało na to, żeby dyrekcja hotelu jakoś specjalnie się tym przejmowała.

Puste popołudnia. Wolno płynące godziny. Yvonne często wkładała czarną, jedwabną podomkę w czerwone grochy, miejscami podartą. Nie zdejmowałem z głowy mojego starego korkowego kasku.

Podłogę zaścielały na wpół podarte czasopisma. Wszędzie poniewierały się butelki z mleczkiem do opalania. W poprzek fotela leżał pies. A na starym adapterze Teppaz puszczałyśmy płyty. Zapominaliśmy zapalić lampy.

Na dole zaczynała grać orkiestra i schodzili się na kolację pierwsi goście. W przerwach między kolejnymi utworami dobiegał nas szmer rozmów. Ponad ten gwar wybijał się niekiedy czyjś pojedynczy głos – głos kobiety – lub wybuch śmiechu. I znowu orkiestra podejmowała grany utwór. Zostawiałem drzwi balkonowe otwarte, żeby słyszeć ten gwar i tę muzykę. Chroniły nas. No i poza tym codziennie rozlegały się o tej samej porze, a to znaczyło, że Ziemia nadal się kręci. Tylko jak długo jeszcze?

Drzwi do łazienki wykrawały trójkąt światła. Yvonne malowała się. Oparty

łokciami o poręcz balkonu, przyglądałem się wszystkim tym ludziom (większość była w strojach wieczorowych), krzątanie kelnerów, muzykom – tak długo, aż w końcu poznałem mimikę każdego z nich. I tak dyrygent się garbił, niemal przyklejał brodę do piersi. A kiedy utwór się kończył, gwałtownie podrywał głowę, z otwartymi ustami, jak człowiek, który się dławi. Skrzypek miał miłą, nieco prosiakowatą twarz i kiwał głową, chwytając powietrze.

Yvonne była gotowa. Zapalałem lampę. Uśmiechała się i obdarzała mnie zagadkowym spojrzeniem. Dla zabawy wkładała czarne, sięgające do połowy ramion rękawiczki. Stała pośród panującego w pokoju bałaganu; niepościelone łóżko, wszędzie porozrzucone szlafroki i sukienki. Wychodziliśmy na palcach, wymijając psa, popielniczki, adapter i puste szklanki.

Późną nocą, gdy już Meinthe odwiózł nas do hotelu, słuchaliśmy muzyki. Nasi najbliżsi sąsiedzi nieraz się skarżyli, że hałasujemy. Od portiera dowiedziałem się, że byli nimi lyoński przemysłowiec z żoną, którą widziałem ściskającą dłoń Fossorięgo po zakończeniu Pucharu Houligant. Posłałem im bukiet piwonii z takim bilecikiem: „Z wyrazami skruchy od hrabiego Chmary”.

Po naszym powrocie pies przez blisko godzinę wydawał z siebie płaczliwy, regularny skowyt. Nie można go było uciszyć. Więc żeby go zagłuszyć, włączaliśmy muzykę. W czasie gdy Yvonne rozbierała się i brała kąpiel, czytałem jej kilka stron książki Maurois. Nie wyłączaliśmy adapteru, z którego płynęła hałaśliwa muzyka. Ledwie słyszałem walenie przemysłowca lyońskiego w łączące nas drzwi i dzwoniący telefon. Chyba zawiadomił nocnego portiera. Jeszcze wyrzucą nas z hotelu. Tym lepiej. Yvonne wkładała plażowy szlafrok i przygotowaliśmy jedzenie dla psa (w tym celu mieliśmy całe mnóstwo puszek z konserwami, a nawet maszynkę). Liczyliśmy na to, że gdy zje, uciszy się. Przekrzykując donośny głos piosenkarza, żona przemysłowca lyońskiego wrzeszczała: „Zróbże coś wreszcie, Henri, zrób coś! *Zadzwoń na policję!...*”. Nasze balkony sąsiadowały z sobą. Drzwi balkonowe zostawialiśmy otwarte i przemysłowiec, strudzony waleniem w drzwi, wymyślał nam od zewnątrz. Wtedy Yvonne zdejmowała szlafrok i naciągnąwszy swe czarne rękawiczki, kompletnie naga wychodziła na balkon. Tamten gapił się na nią z poczerwieniałą twarzą. Żona ciągnęła go za rękę. „Ach łobuzy! Dziwka!...” – darła

się. Byliśmy młodzi.

I bogaci. Szuflada jej nocnego stolika po brzegi była wypełniona banknotami. Skąd pochodziły te pieniądze? Nie miałem odwagi o to zapytać. Pewnego dnia, układając pliki banknotów jedne przy drugich, tak żeby można było zamknąć szufladę, wyjaśniła mi, że to jej filmowa gaża. Zażądała, żeby zapłacono jej gotówką, w banknotach pięciotysięcznych. I dodała, że zrealizowała czek za Puchar Houligant. Pokazała mi owiniętą w gazetę paczkę: osiemset banknotów po tysiąc franków. Wolała banknoty o niskim nominale.

Zaproponowała, że pożycz mi pieniądze, lecz odrzuciłem tę ofertę. Gdzieś w czeluściach moich walizek poniewierało się jeszcze z osiemset, dziewięćset tysięcy franków. Sumę tę zarobiłem, sprzedając w genewskiej księgarni dwa „unikalne” wydania, które za bezcen kupiłem u handlarza staroci w Paryżu. W recepcji wymieniłem banknoty po pięćdziesiąt tysięcy franków na pięćsetfrankowe i załadowałem je do torby plażowej. Wyrzuciłem wszystkie na łóżko. Ona dorzuciła swoje, co razem utworzyło imponujący stos. Zachwyciło nas takie mnóstwo pieniędzy i wydawaliśmy je bez oporów. Odkryłem w niej to samo co u mnie upodobanie do żywej gotówki; łatwo zarobionych pieniędzy, plików banknotów, którymi wypycha się kieszenie, tych wariackich pieniędzy, wartko przepływających przez palce.

Odkąd ukazał się artykuł, wypytywałem ją o jej dzieciństwo w tym mieście. Uchyliła się od odpowiedzi; wolałaby bez wątpienia zachować nieco tajemniczości i wstydziła się trochę – będąc przyjaciółką „hrabiego Chmary” – swego „skromnego” pochodzenia. A wiedząc, że prawda o mnie by ją mocno rozczarowała, opowiadałem jej o przygodach moich bliskich. Mój ojciec jako bardzo młody człowiek wraz z matką i siostrami opuścił Rosję z powodu rewolucji. Przez jakiś czas, nim osiedli w końcu w Paryżu, mieszkali w Konstantynopolu, w Berlinie i Brukseli. Moje ciotki, tak jak wiele innych pięknych i szlachetnie urodzonych białych Rosjanek, zarabiały na życie jako modelki u Elsy Schiaparelli. Ojciec w wieku dwudziestu pięciu lat popłynął jachtem do Ameryki, gdzie poślubił dziedziczkę magazynów Woolworth. Potem

rozwiódł się, uzyskując olbrzymie alimenty. Po powrocie do Francji spotkał moją mamę, irlandzką artystkę rewiową. Urodziłem się ja. W lipcu 1949 roku, lecąc samolotem turystycznym, zginęli obydwój nieopodal Cap-Ferrat. Wychowała mnie babka, w Paryżu, w mieszkaniu na parterze domu przy ulicy Lord-Byron. Ot, i wszystko.

Czy mi wierzyła? Częściowo. Odczuwała potrzebę, żebym przed snem opowiadał jej rozmaite „niezwykłe” historie, pełne utytułowanych osób i gwiazd filmowych. Ileż to razy opisywałem jej romans mojego ojca z aktorką Lupe Velez, rozgrywający się w scenerii willi hiszpańskiej w Beverly Hills? Kiedy jednak prosiłem, by z kolei ona opowiedziała mi o swej rodzinie, mówiła: „Och, to nic ciekawego...”. A przecież była to jedyna rzecz, jakiej brakowało mi do szczęścia: tej opowieści o dzieciństwie i latach młodości, spędzonych w prowincjonalnym miasteczku. Jak jej wytłumaczyć, że w moich oczach, oczach apatrydy, Hollywood, rosyjscy książęta i Egipt Faruka wyglądały blado i bezbarwnie w porównaniu z małą Francuzką – istotą egzotyczną i prawie nieosiągalną?

ROZDZIAŁ X

Zdarzyło się to któregoś wieczoru, całkiem zwyczajnie. Powiedziała: „Pójdziemy na kolację do mojego wuja”. Siedzieliśmy na balkonie, przeglądając czasopisma, i pamiętam, że okładka jednego z nich przedstawiała angielską aktorkę, która zginęła w wypadku samochodowym.

Raz jeszcze ubrałem się w mój flanelowy garnitur, a że kołnierzyk jedynej białej koszuli, jaką miałem, był do cna przetarty, włożyłem polo w kolorze złamanej bieli, pasujące do niebiesko-czerwonego krawatu z International Bar Fly. Niemało się natrudziłem, zanim wreszcie udało mi się go zawiązać, gdyż kołnierzyk polo był za miękki, ale zależało mi, żeby wyglądać schludnie. Flanelową marynarkę ozdobiłem ciemnoniebieską chusteczką, którą kupiłem ze względu na jej intensywny kolor. Nie wiedziałem, które wybrać buty: podniszczone mokasyny, espadryle czy westony – prawie nowe, ale na grubej słoninie. Wybrałem westony, uważając, że prezentują się najgodniej. Yvonne błagała, żebym założył mój monokl: to może wuja zaintrygować i uzna mnie za „zabawnego”. Rzecz jednak w tym, że wcale mi na tym nie zależało, bo chciałem, żeby ten człowiek ujrzał mnie takim, jakim jestem naprawdę – chłopcem skromnym i poważnym.

Postanowiła włożyć białą jedwabną sukienkę i różowy turban w odcieniu fuksji, ten sam, który miała na sobie w dniu Pucharu Houligant. Malowała się dłużej niż zwykle. Jej szminka była w tym samym odcieniu co turban. Włożyła swoje długie rękawiczki; uznałem, że to dość osobliwe jak na obiad u wuja. Zabraliśmy z sobą psa.

Na nasz widok paru osobom w hallu hotelowym aż dech zapało. Przed nami

kroczył pies, kreśląc figury kadryla. Zdarzało mu się to, kiedy wychodziliśmy w godzinach, do których nie był przyzwyczajony. Pojechaliśmy kolejką linową.

Szliśmy ulicą Parmelan, stanowiącą przedłużenie ulicy Royale. Z każdym krokiem odkrywałem inne miasto. Zostawialiśmy za sobą to wszystko, co tworzy sztuczny urok uzdrowiska, cały ten lichy, operetkowy wystrój, pośród którego sędziwy pasza egipski na wygnaniu usypia w końcu, zdjęty melancholią. Miejsce eleganckich butików zajęły sklepy z żywnością i motocyklami. Tak, sklepów z motocyklami było wprost zatrzęsienie. Czasami dwa sąsiadowały z sobą jeden obok drugiego, a w dodatku na chodniku wystawione były liczne vespy po okazyjnych cenach. Minęliśmy dworzec autobusowy, gdzie z włączonym silnikiem czekał autobus. Z boku miał wypisaną nazwę towarzystwa, do którego należał, i etapy podróży: Sevrier-Pringy-Albertville. Doszliśmy do rogu ulicy Parmelan i alei Maréchal-Leclerc. Na krótkim odcinku aleja ta nazywała się Maréchal-Leclerc, gdyż była szosą numer 201, prowadzącą do Chambéry. Po obu jej stronach rosły platany.

Pies był wylękniony i trzymał się z dala od jezdni. Jego znużona sylwetka bardziej pasowała do wnętrza Hermitage'u – na przedmieściach wzbudzał sensację. Yvonne nie odzywała się, znała jednak tę dzielnicę. Prawdopodobnie przez całe lata chodziła tą samą drogą, wracając ze szkoły lub z prywatki w śródmieściu (właściwie określenie „prywatka” tu nie pasuje. Ona chodziła na „bale” lub „dancingi”). Ja natomiast nie pamiętałem już hallu Hermitage'u, nie wiedziałem, dokąd idziemy, ale z góry zgadzałem się, by zamieszkać razem z nią tu właśnie, przy szosie numer 201. Przejeżdżające wielotonowe ciężarówki wprawiałyby szyby w naszym pokoju w drgania, tak jak w tym małym mieszkanku na bulwarze Soult, gdzie przez kilka miesięcy mieszkałem z ojcem. Czułem się lekko. Jedynie nowe buty trochę uwierały mnie w pięty.

Zapadł zmrok – po obu stronach drogi pełniły straż dwu- lub trzypiętrowe domy, budyneczki o jasnych kolorach i kolonialnym uroku. Podobne spotykało się w europejskiej dzielnicy Tunisu, a nawet w Sajgonie. I tylko gdzieś tam dom w stylu góralskiej chaty, otoczony maleńkim ogródkiem, przypominał, że znajdujemy

się w Górnej Sabaudii.

Minęliśmy kościół z cegły – zapytałem Yvonne, pod jakim jest wezwaniem. Świętego Krzysztofa. Chciałem, żeby okazało się, że to tu właśnie przystąpiła do swej Pierwszej Komunii, ale nie zapytałem jej o to w obawie przed rozczarowaniem. Nieco dalej kino Splendid. Jego fasada w kolorze brudnego beżu i czerwone drzwi o małych okienkach upodabniały je do wszystkich tych kin, jakie widuje się na przedmieściach tuż przed wjazdem do Paryża, w alejach Maréchal-de-Lattre-de-Tassigny, Jean-Jaurès czy Maréchal-Leclerc. Tu też pewnie przychodziła, gdy miała szesnaście lat. Tego wieczoru w Splendid wyświetlali film naszego dzieciństwa: *Le Prisonnier de Zenda*; wyobraziłem sobie, że kupujemy w kasie dwa bilety na antresolę. Znałem tę salę od lat, widziałem jej fotele o drewnianych oparciach, a przed ekranem tablicę z lokalnymi reklamami: „Jean Chermoz, kwaciarnia, rue Sommeiller 22”. „LAV NET, rue du Président-Favre 17”, „Decouz, radia, TV, hi-fi, aleja Allery 23”... Jedna za drugą kawiarnie. Za szybami ostatniej czterech chłopaków uczesanych w ząbek grało w *baby-foot*. Na zewnątrz wystawione były zielone stoliki. Siedzący przy nich klienci z ciekawością przyglądali się psu. Yvonne zdjęła swe długie rękawiczki. Znów była w swym naturalnym otoczeniu i białą jedwabną sukienkę, jaką miała na sobie, z powodzeniem mogłaby włożyć na jakąś lokalną uroczystość lub bal z okazji 14 lipca.

Przez jakieś sto metrów szliśmy wzdłuż ogrodzenia z ciemnego drewna, oblepionego przeróżnymi plakatami. Plakaty kina Splendid. Plakaty zapowiadające uroczystość parafialną i przyjazd cyrku Pinder. Na wpół oddarta głowa Luisa Mariano. Stare, ledwie czytelne napisy: „Uwolnijcie Henriego Martina”, „Ridgway go home”, „Francuska Algieria”... Serca przebite strzałą i inicjały. Ustawiono tu nowoczesne, lekko wygięte, betonowe latarnie. Ich światło rzucało na ogrodzenie cień platanów i ich żółknących liści. Upalna noc. Zdjąłem marynarkę. Znaleźliśmy się przed wejściem do dużego garażu. Po prawej stronie, na małych bocznych drzwiach plakietka, na której gotyckimi literami wygrawerowano: „Jacquet” i tablica z napisem: „Części zapasowe do samochodów amerykańskich”.

Oczekiwał nas w pokoju na parterze, będącym jednocześnie salonem i jadalnią. Oba okna i oszklone drzwi wychodziły na garaż, olbrzymi hangar. Yvonne przedstawiła mnie, wymieniając mój tytuł szlachecki. Poczuję się zażenowany, ale on, jak się wydawało, przyjął to całkowicie naturalnie. Zwracając się do niej, burkliwym tonem zapytał:

– Czy hrabia lubi sznycle wieprzowe? – Miał bardzo wyraźny akcent paryski. – Bo przygotowałem dla was sznycle.

Mówił, nie wyjmując tkwiącego w kąciку ust papierosa, właściwie niedopałka, i mrużąc oczy. Miał bardzo niski głos, zachrypnięty, głos alkoholika lub nałogowego palacza.

– Siadajcie, proszę...

Wskazał niebieskawą kanapę pod ścianą. Potem drobnym krokiem, lekko się kołysząc, poczłapał do sąsiedniego pomieszczenia, kuchni. Usłyszeliśmy odgłosy smażenia.

Wrócił z tacą, którą ustawił na oparciu kanapy. Trzy kieliszki i talerzyk pełen biszkopcików zwanych kocimi jęczyczkami. Wręczył Yvonne i mnie po kieliszku. Różowawy płyn. Uśmiechnął się do mnie:

– Proszę spróbować. Fantastyczny koktajl. Istny dynamit. Nazywa się to... „różowa dama”... Niech pan spróbuje...

Umoczyłem usta. Łyknąłem kropelkę. I z miejsca się rozkaszałem. Yvonne się roześmiała.

– Nie powinieneś mu tego dawać, wujaszku Roland.

Byłem wzruszony i zaskoczony, słysząc, jak mówi do niego „wujaszku Roland”.

– Dynamit, a nie mówiłem? – rzucił z oczyma błyszczącymi, niemal wychodzącymi z orbit. – Do tego trzeba się przyzwyczaić.

Usiadł na fotelu pokrytym tą samą niebieskawą, sfatygowaną tkaniną co kanapa. Pogłaskał psa, który się przed nim położył, i upił łyk koktajlu.

– Wszystko w porządku? – zapytał Yvonne.

– Tak.

Kiwnął głową. Nie wiedział, co by tu jeszcze powiedzieć. Może nie miał ochoty

rozmawiać z kimś, kogo widział po raz pierwszy. Czekał, aż zagaję konwersację, lecz ja byłem jeszcze bardziej onieśmielony niż on, a Yvonne nie zrobiła nic, żeby rozładować nasze skrępowanie. Wprost przeciwnie, wyjęła z torebki rękawiczki i powoli zaczęła je naciągać. Z miną nieco naburmuszoną śledził kątem oka tę dziwną, niekończącą się czynność. Zapadła długa chwila ciszy.

Obserwowałem go ukradkiem. Miał gęste, ciemne włosy i czerstwą cerę, lecz wielkie czarne oczy i bardzo długie rzęsy przydawały jego topornej twarzy pewnego wdzięku i omdłałości. Za młodu musiał być bardzo przystojny, choć nieco chropawą urodą. Za to usta miał wąskie, zmysłowe, bardzo francuskie.

Nietrudno było się domyślić, że starannie ubrał się na naszą wizytę. Marynarka z szarego tweedu w nieco zbyt szeroką kratę, ciemna koszula bez krawata. Zapach lawendy. Daremnie próbowałem odnaleźć jakieś podobieństwo rodzinne między nim a Yvonne. Sądziłem jednak, że przed końcem wieczoru uda mi się je dostrzec: usiądę naprzeciwko nich i będę się przyglądał jednocześnie obojgu. W końcu na pewno uchwycę jakiś wspólny im gest lub mimikę.

– Dużo masz teraz roboty, wujku Roland?

Zadała mu to pytanie tonem, który mnie zaskoczył. Była w nim dziecięca naiwność, a jednocześnie opryskliwość, z jaką kobieta mogłaby się zwrócić do mężczyzny, z którym żyje.

– A żebyś wiedziała... te amerykańskie paskudztwa... wszystkie te cholerne studebakery...

– Niezbyt to zabawne, co, wujaszku Roland?

Tym razem przemawiała do niego jak do dziecka.

– Nie. Zwłaszcza że w silnikach tych cholernych studebakerów...

Nie dokończył zdania, jakby nagle uświadomił sobie, że szczegóły techniczne mogą nas nie interesować.

– No tak... A co u ciebie? – zapytał Yvonne. – Wszystko w porządku?

– Tak, wujaszku.

Jej myśli zaprzętało co innego. Co?

– Świetnie. Jak w porządku, to w porządku... Może byśmy tak siedli do stołu?

Wstał i położył mi rękę na ramieniu.

– Hej, Yvonne, czy ty mnie słyszysz?

Naprzeciwko oszklonych drzwi i wychodzących na garaż okien stał nakryty stół. Serweta w granatowo-białą kratkę. Kieliszki z duraleksu. Wskazał mi miejsce – takie właśnie, jak się spodziewałem. Miałem ich oboje naprzeciw siebie. Na talerzach jego i Yvonne drewniane kółka na serwetki, na których okrągłymi literami wygrawerowane były ich imiona „Roland” i „Yvonne”.

Swym lekko kołyszącym krokiem udał się do kuchni, Yvonne zaś skorzystała z jego nieobecności, żeby podrapać mnie paznokciem po wnętrzu dłoni. Przyniósł sałatkę nicejską. Yvonne nałożyła nam ją na talerze.

– Mam nadzieję, że wam smakuje? – Potem do Yvonne, akcentując sylaby: – Czy hra-bie-mu na-praw-dę sma-ku-je?

Nie wyczułem w tym żadnej złośliwości, lecz jedynie bardzo paryską ironię i wdzięk. Nie pojmowałem zresztą, skąd u tego „Sabaudczyka” (przypomniałem sobie zdanie z artykułu: „Rodzina jej pochodzi z tych okolic”) wziął się ów męczący akcent z Belleville.

Nie, zdecydowanie nie byli do siebie podobni. Wuj nie miał subtelności rysów Yvonne, jej długich dłoni i wdzięcznej szyi. Sprawiał wrażenie bardziej masywnego i krzepkiego niż wtedy, kiedy siedział na fotelu. Ciekawiło mnie ogromnie, po kim wzięła te zielone oczy i rude włosy, lecz bezbrzeżny respekt, jakim darzę francuskie rodziny i ich sekrety, powstrzymywał mnie przed zadawaniem pytań. Kim byli ojciec i matka Yvonne? Czy jeszcze żyli? Czym się zajmowali? Nie przestając ich dyskretnie obserwować, odkrywałem jednak u Yvonne i jej wuja podobieństwo pewnych gestów. Na przykład ten sam sposób trzymania sztućców, z nieco zbyt wysuniętym palcem wskazującym, tę samą powolność w podnoszeniu widelca do ust i chwilami to samo mrużenie oczu, u jednego i drugiego powodujące drobne zmarszczki.

– A czym pan się zajmuje?

– Niczym, wujaszku.

Nie zostawiła mi czasu na odpowiedź.

– Nieprawda, proszę pana – wymamrotałem. – Nie. Ja zajmuję się... książkami.

– ... Książkami? Książki?

Wpatrywał się we mnie bezgranicznie pustym spojrzeniem.

– Ja... Ja...

Yvonne spoglądała na mnie z zuchwałym uśmiechem.

– Ja... piszę książkę. Po prostu.

Sam byłem zdziwiony kategorycznym tonem, jakim wygłosiłem to kłamstwo.

– Pisze pan książkę. Książkę? – zmarszczył brwi i pochylił się w moją stronę. – Książkę... kryminał?

Wyglądał na uspokojonego. Uśmiechał się.

– Otóż to, kryminał – mruknąłem. – Kryminał.

W sąsiednim pokoju rozległo się bicie zegara. Chrypliwe, niekończące się uderzenia. Yvonne słuchała z rozchyłonymi ustami. Wuj przyglądał się mojej reakcji, wstyd mu było tej dziwacznej, wygrywającej nie w porę melodii, której nie potrafiłem zidentyfikować. Ale potem wystarczyło tylko, że powiedział: „Znów ten cholerny westminster”, abym pośród kakofonii dźwięków rozpoznał dzwon londyński, tyle że bijący bardziej melancholijnie i niepokojąco od prawdziwego.

– Ten przeklęty westminster do reszty już zwariował. Wydzwania co godzinę po dwanaście razy... rozchoruję się przez ten cholerny zegar... To, że go zatrzymałem...

Mówił o nim jak o jakimś osobistym, niewidzialnym wrogu.

– Słyszysz, Yvonne?

– Mówiłam ci przecież, że należał do mamy... Po prostu oddaj mi go i będzie po sprawie...

Raptownie poczerwieniał; przeraziłem się, że wpadnie w gniew.

– Tu zostanie, słyszysz... Tutaj...

– Ależ dobrze, wujaszku, dobrze... – Wzruszyła ramionami. – Miej sobie ten swój zegar... tego swojego idiotycznego westminstera...

Odwróciła się i puściła do mnie oko. Teraz z kolei on zapragnął wziąć mnie na świadka.

– Sam pan rozumie. Czułbym pustkę, gdybym nie słyszał tego przeklętego zegara...

– Mnie on przypomina dzieciństwo – oświadczyła Yvonne. – Przeszkadzał mi spać...

Ujrzałem ją, jak z szeroko otwartymi oczami leży w łóżku, tuląc do siebie pluszowego misia.

Usłyszeliśmy jeszcze pięć uderzeń w nieregularnych odstępach czasu niczym czknięcia pijaka. Potem westminster zamilkł; wydawało się, że na dobre.

Wziąwszy głęboki oddech, zwróciłem się do wuja:

– To tu mieszkała, kiedy była mała?

Słowa te wymówiłem tak szybko, że nie zrozumiał.

– Pyta cię, czy mieszkałam tu, kiedy byłam mała. Głuchy jesteś, wujaszku?

– Ależ tak, tutaj. Na górze.

Palcem wskazującym wymierzył w sufit.

– Zaraz ci pokażę mój pokój. O ile jeszcze istnieje, co, wujaszku?

– Oczywiście, że tak, niczego nie zmieniałem.

Wstał, pozbierał talerze i sztucce i poszedł do kuchni. Wrócił, niosąc czyste talerze i nowe sztucce.

– Woli pan bardziej wypieczone? – zapytał.

– Jak pan uważa.

– Ależ nie. Jak pan woli, panie hrabio.

Zaczerwieniłem się.

– Więc jak, zdecydował się pan? Mniej czy bardziej wypieczone?

Nie potrafiłem wydusić z siebie najprostszej sylaby. Próbując zyskać na czasie, wykonałem nieokreślony ruch ręką. Stał przede mną nieruchomo, ze skrzyżowanymi ramionami. Przyglądał mi się z niejakim zdziwieniem.

– Słuchaj no, czy on jest zawsze taki?

– Tak, wujaszku, zawsze. Jest taki zawsze.

Osobiście nałożył nam sznycle i zielony groszek, zaznaczając, że to „groszek świeży, nie konserwowy”. Sam także rozlewał wino, mercurey, które kupował tylko dla „pierwszorzędnych” gości.

– Uważasz go więc za „pierwszorzędnego” gościa? – zapytała Yvonne, wskazując na mnie.

– No pewnie. Pierwszy raz w życiu jem obiad w towarzystwie hrabiego. Hrabiego, jak to było?

– Chmara – odpowiedziała sucho Yvonne, jakby mając mu za złe, że zapomniał.

– Chmara, to po jakiemu? Po portugalsku?

– Po rosyjsku – wyjąkałem.

Chciał się dowiedzieć czegoś więcej.

– Jest pan Rosjaninem?

Ogarnęło mnie bezbrzeżne znużenie. Znów trzeba będzie opowiadać o rewolucji, Berlinie, Paryżu, Schiaparelli, Ameryce, dziedzicze magazynów Woolworth, babce z ulicy Lord-Byron... O nie. Zrobiło mi się słabo.

– Źle się pan czuje?

Ojcowskim gestem położył mi dłoń na ramieniu.

– Ależ skąd... Od dawna już nie czułem się tak dobrze...

Wyglądał na zdziwionego tym oświadczeniem, tym bardziej że po raz pierwszy tego wieczoru wyraziłem się zrozumiale.

– Proszę, niech pan wypije kropelkę mercurey...

– Wiesz, wujaszku, wiesz co... – zrobiła przerwę, a ja zeszywniałem wiedząc, że za chwilę spadnie na mnie grom. – Ty wiesz, że on nosi monokl?

– Ach, tak... co ty powiesz?

– Pokaż mu, włóż swój monokl...

Ton jej głosu zrobił się figlarny. Niczym wyliczankę powtarzała: „włóż swój monokl... włóż swój monokl...”.

Drżącą dłonią sięgnąłem do kieszeni marynarki i z powolnością lunatyka uniosłem monokl do lewego oka. I próbowałem go założyć, lecz mięśnie odmawiały mi posłuszeństwa. Trzykrotnie monokl wypadał. Czułem odrętwienie na wysokości kości policzkowej. Przy ostatnim upadku wylądował w zielonym groszku.

– Do cholery! – zagrzmiałem.

Zaczynałem tracić zimną krew i bałem się, żeby nie zrobić jednej z tych strasznych rzeczy, których nikt nie spodziewałby się po takim chłopcu jak ja. Ale nic na to nie poradzę, czasami miewam takie napady.

– A może pan spróbuje? – zwróciłem się do wuja, podając mu monokl.

Udało mu się od razu, czego serdecznie mu pogratulowałem. Dobrze z tym wyglądał. Przypominał Conrada Veidta w *Nocturno der Liebe*. Yvonne roześmiała się, ja także. I wuj. Nie mogliśmy się opanować.

– Będziecie musieli znów mnie odwiedzić – oświadczył. – Dobrze się bawimy w trójkę. A już z pana to prawdziwy żartowniś.

– Oj, to prawda – przyznała Yvonne.

– Pan też jest „żartowniś” – zauważyłem.

Chciałem też dopowiedzieć: i ktoś dodający mi otuchy, bo jego obecność, sposób mówienia, jego gesty sprawiały, że czułem się przy nim bezpiecznie. W tej jadalni, w towarzystwie jego i Yvonne nie musiałem się niczego obawiać. Niczego. Nikt nie mógł zrobić mi krzywdy.

– Dużo ma pan pracy? – zaryzykowałem pytanie.

Zapalił papierosa.

– A tak. Samemu trzeba to wszystko ciągnąć...

Zrobił gest w kierunku hangaru za oknami.

– Od dawna?

Wyciągnął do mnie paczkę royale’i.

– Zaczynaliśmy wspólnie z ojcem Yvonne...

Wyglądał na zdziwionego i wzruszonego moją uwagą i ciekawością. Nieczęsto zapewne pytano go o niego i jego pracę. Yvonne odwróciła głowę i podała psu kawałek mięsa.

– Kupiliśmy to od towarzystwa lotniczego Farman... Dostaliśmy koncesję Hotchkissa na cały departament... W branży luksusowych wozów współpracowaliśmy ze Szwajcarią...

Wyrzucał z siebie te zdania bardzo szybko i niemal półgłosem, tak jakby bał się, że zaraz mu ktoś przerwie, ale Yvonne nie zwracała na niego najmniejszej uwagi.

Głaskała psa i przemawiała do niego.

– Dobrze nam to szło, póki był jej ojciec...

Zaciągnął się dymem z papierosa, którego trzymał między kciukiem i palcem wskazującym.

– Interesuje to pana? To wszystko to już przeszłość...

– Co ty mu tam opowiadasz, wujaszku?

– O początkach garażu z twoim ojcem...

– Przecież to go nudzi...

W jej głosie zabrzmiała nutka złości.

– Ani trochę – powiedziałem. – Ani trochę. Co stało się z twoim ojcem?

Pytanie to wymknęło mi się mimowolnie i nie mogłem go już cofnąć. Skrępowanie. Zauważyłem, że Yvonne zmarszczyła brwi.

– Albert...

Wuj wymówił to imię z nieobecny spojrzeniem. Potem otrząsnął się.

– Albert miał kłopoty...

Zrozumiałem, że więcej się już od niego nie dowiem; byłem zaskoczony, że w ogóle tyle mi powiedział.

– A ty? – położył dłoń na ramieniu Yvonne. – Układa się po twojej myśli?

– Tak.

Za chwilę rozmowa utknie. Postanowiłem przejść do ataku.

– Czy pan wie, że Yvonne będzie aktorką filmową?

– Naprawdę tak pan uważa?

– Ależ jestem tego pewny.

Z wdziękiem dmuchnęła mi w twarz dymem z papierosa.

– Nie wierzyłem, kiedy mi powiedziała, że zagra w filmie. A jednak to była prawda... Skończyłaś już ten swój film?

– Tak, wujaszku.

– To kiedy go będzie można obejrzeć?

– Będzie wyświetlany za jakieś trzy, cztery miesiące – oświadczyłem.

– Będą go tu grali?

Był nastawiony sceptycznie.

– Na pewno. W kinie Casino – mówiłem coraz pewniejszym tonem. – Obejrzy go pan.

– Więc trzeba to będzie jakoś uczcić... Niech mi pan powie... Czy pan uważa, że to prawdziwy zawód?

– Ależ naturalnie. Zresztą będzie to kontynuowała. Zagra w następnym filmie. – Sam byłem zdziwiony żarliwością tego zapewnienia. – I zostanie gwiazdą filmową, proszę pana.

– Naprawdę?

– Ależ oczywiście, proszę pana. Niech pan sam ją o to spyta.

– To prawda, Yvonne?

W jego głosie zabrzmiała lekka drwina.

– Ależ tak, wszystko, co mówi Victor, to prawda, wujaszku.

Przemawiałem teraz przymilnym tonem parlamentarzysty i sam się tego wstydziłem, ale temat ten za bardzo leżał mi na sercu i mówiąc o tym, za wszelką cenę próbowałem przemóc moje trudności z dykcją.

– Niech mi pan wierzy, Yvonne ma wielki talent.

Głaskała psa. Wuj z niedopałkiem royale'a w kąciku ust mnie obserwował. Znów ten cień niepokoju, to zaaferowane spojrzenie.

– Ale czy rzeczywiście pan myśli, że aktorstwo to zawód?

– To najpiękniejszy zawód świata, proszę pana.

– No cóż, mam nadzieję, że ci się uda – odezwał się z powagą do Yvonne. – W końcu nie jesteś głupsza od innych...

– Victor będzie mi służył dobrą radą, prawda Victor?

Obdarzyła mnie czułym i ironicznym spojrzeniem.

– Wie pan, że zdobyła puchar Houligant, prawda? – zapytałem wuja.

– Byłem zaskoczony, kiedy przeczytałem o tym w gazecie. – Przez moment się zawahał. – Niech mi pan powie, czy to coś ważnego, ten puchar Houligant?

Yvonne zachichotała.

– To może być pewną odskocznią – oświadczyłem, przecierając monokl.

Zaproponowałem, żebyśmy napili się kawy. Usadawiłem się na starej, niebieskawej kanapie, podczas gdy oboje z Yvonne sprząтали ze stołu. Yvonne nuciła, nosząc do kuchni talerze i sztucce. Odkręcił wodę. Pies usnął u moich stóp. Znów, jakże wyraziście, widzę tę kuchnię. Ściany pokryte tapetą o potrójnym motywie czerwonych róż, bluszczu i ptaków (nie jestem w stanie powiedzieć, czy to były kosy czy wróble). Tapeta nieco spłowiała, z białym albo beżowym tłem. Żyrandol w kształcie drewnianego koła z dziesięcioma żarówkami osłoniętymi pergaminowymi abażurami. Bursztynowe, ciepłe światło. Na ścianie mały obrazek bez ram, przedstawiający wnętrze lasu – podziwiałem sposób, w jaki malarz obrysował kontury drzew na tle jasnego, zmierzchającego nieba oraz zbląkaną plamę słońca u stóp jednego z nich. Obrazek przydawał atmosferze tego pomieszczenia jeszcze większego spokoju. Wuj, któremu udzieliła się melodia podśpiewywana przez Yvonne, nucił razem z nią. Było mi dobrze. Chciałem, żeby ten wieczór trwał w nieskończoność, chciałem godzinami patrzeć, jak kursują w tę i z powrotem, obserwować pełne wdzięku ruchy Yvonne i jej niedbały sposób poruszania się, kołyszący krok wuja. Słuchać, jak pomrukują refren piosenki, którego ja sam nie mam odwagi podjąć, gdyż przywiódłby mi na pamięć drogocenną chwilę, która była niegdyś moim udziałem.

Podszedł i usiadł obok mnie na kanapie. Próbując podtrzymać rozmowę, wskazałem na obraz:

– Bardzo ładne...

– To dzieło ojca Yvonne... tak...

Obraz ten zapewne wisiał na tym samym miejscu już od lat, ale jemu nadal sprawiała przyjemność myśl, że namalował go jego brat.

– Albert miał talent do malowania... Widzi pan, to jego podpis tam na dole, po prawej: Albert Jacquet. Dziwny był facet z tego mojego brata...

Już miałem zadać mu jakieś niedyskretne pytanie, ale z kuchni wyszła właśnie Yvonne, niosąc tacę z kawą. Uśmiechała się. Pies się przeciągnął. Wuj kaszłał, nie wyjmując z ust swego niedopałka. Yvonne wśliznęła się między mnie i oparcie

kanapy i położyła mi głowę na ramieniu. Wuj, odkasłując, nalewał kawę; wydawało mi się, że się zarumienił. Podał kostkę cukru psu, który delikatnie ujął ją w zęby, a ja wiedziałem, że nie schrupie tego kawałka, ale że będzie go ssał ze wzrokiem utkwionym przed siebie. Nigdy nie gryzł jedzenia.

Nie zauważyłem, że z tyłu, za kanapą stał stół, a na nim niewielki biały odbiornik radiowy, model pośredni między odbiornikiem klasycznym i tranzystorem. Wuj przekręcił gałkę i natychmiast rozległa się ogłuszająca muzyka. Każde z nas popijało małymi łydkami swoją kawę. Niekiedy wuj kładł głowę na oparciu kanapy i wypuszczał kółka dymu. Nawet zgrabnie mu to wychodziło, Yvonne słuchała muzyki, leniwie wystukując takt palcem wskazującym. Siedzieliśmy w milczeniu, jak ludzie, którzy znają się od niepamiętnych czasów, trzy osoby należące do tej samej rodziny.

– Powinnaś pokazać mu dom – mruknął wuj.

Zamknął oczy. Yvonne i ja wstaliśmy. Pies, obrzuciwszy nas posępnym spojrzeniem, też się podniósł i ruszył za nami. Byliśmy w sieni u podnóża schodów, gdy na nowo rozległo się bicie westminstera, ale jeszcze bardziej chaotyczne i gwałtowniejsze niż za pierwszym razem, kojarzące mi się z obrazem szalonego pianisty walącego czołem i pięściami o klawiaturę. Przerażony pies wbiegł na górę i czekał na nas u szczytu schodów. Zwisający z sufitu żyrandol rozsiewał zimne, żółte światło. Różowy turban i szminka na ustach sprawiły, że twarz Yvonne stała się jeszcze bledsza. Ja sam czułem się w tym świetle tak, jakby spowijał mnie jakiś ołowiany pył. Po prawej szafa z lustrem. Zatrzymaliśmy się przed jakimiś drzwiami; Yvonne otworzyła je. Pokój z oknem wychodzącym na ulicę, skąd dobiegł stłumiony hałas przejeżdżających ciężarówek.

Zapaliła nocną lampkę. Łóżko było bardzo wąskie. Zresztą leżał na nim już tylko materac. Nad łóżkiem – półka; wszystko razem tworzyło całkiem przytulny kącik. W lewym rogu maleńka umywalka, nad nią lustro. Pod ścianą szafa z jasnego drzewa. Yvonne przysiadła na brzegu materaca i powiedziała:

– O, to właśnie był mój pokój.

Pies usadowił się pośrodku dywanu tak wytartego, że wzór na nim stał się

niewidoczny. Po chwili wstał i wyszedł z pokoju. Badałem wzrokiem ściany, przeglądałem półki w nadziei, że odkryję jakiś ślad dzieciństwa Yvonne. Było tu o wiele cieplej niż w innych pomieszczeniach, zdjęła więc suknię. Potoczyła się w poprzek materaca. Miała na sobie pończochy, podwiązki, stanik; cały ten kram, którego używały wtedy kobiety. Otworzyłem szafę z jasnego drewna. Może znajdę coś jeszcze w środku.

– Czego szukasz? – spytała, podpierając się na łokciach.

Zmrużyła oczy. W głębi szafy zauważyłem małą, szkolną teczkę. Sięgnąłem po nią i usiadłem na podłodze, opierając się plecami o materac. Przytuliła podbródek do mojego ramienia i dmuchnęła mi w szyję. Otworzyłem teczkę, wsunąłem rękę do środka i wyjąłem stary, do połowy wypisany ołówek z szarawą gumką na końcu. Wnętrze te czki wydzielalo nieprzyjemny zapach skóry oraz, chyba, wosku. Pierwszego popołudnia letnich wakacji Yvonne zamknęła ją na zawsze.

Zgasila światło. Jakież to koleje losu sprawiły, że znalazłem się obok niej na tym materacu, w tym pokoiku, który utracił swe pierwotne przeznaczenie?

Jak długo tam byliśmy? Nie sposób było zaufać coraz bardziej szalonemu biciu westminstera, który po trzykroć, w kilkuminutowych odstępach, wydzwaniał północ. Wstałem i w półmroku ujrzałem, że Yvonne odwróciła się twarzą do ściany. Może miała ochotę pospać. Pies w pozie sfinksa siedział na podeście naprzeciw lustra szafy i przeglądał się w nim z wyrazem wyniosłego znudzenia. Nawet nie drgnął, gdy przechodziłem. Miał wyprężoną szyję, lekko uniesioną głowę, postawione uszy. W połowie schodów usłyszałem, że ziewa. I wciąż to zimne, żółte światło żyrandola, wprawiające mnie w stan odrętwienia. Przez uchylone drzwi jadalni dobiegała muzyka, zimna i klarowna, taka, jaką często słyszy się w radio o północy, przywodząca na myśl wyludnione lotnisko. Wuj siedział w fotelu i słuchał. Gdy wszedłem, odwrócił głowę w moim kierunku:

– W porządku?

– A pan?

– W porządku – odpowiedział. – A pan?

– W porządku.

– Możemy tak dalej, jeśli ma pan ochotę... W porządku?

Przyglądał mi się z powagą, z zastygłym uśmiechem, zupełnie jakby stał przed fotografem, który za chwilę zdejmie jego podobiznę.

Wyciągnął do mnie paczkę royale'i. Bezskutecznie próbowałem zapalić cztery zapalki. Wreszcie pokazał się płomień, który ostrożnie przytknąłem do koniuszka papierosa. Zaciągnąłem się. Poczułem się tak, jakbym palił po raz pierwszy. Przyglądał mi się ze zmarszczonymi brwiami.

– Nie jest pan zręczny – stwierdził z wielką powagą.

– Przykro mi.

– A to czemu, mój stary? Myśli pan, że to zabawne tak grzebać w silnikach?

Popatrzył na swoje ręce.

– Czasami sprawia to chyba satysfakcję – powiedziałem.

– Ach, tak? Tak pan uważa?

– No cóż, samochód to mimo wszystko piękny wynalazek...

Już mnie nie słuchał. Muzyka ucichła i spiker – mówił z intonacją jednocześnie angielską i szwajcarską; zastanawiałem się, jakiej był narodowości – wymówił zdanie, które dziś jeszcze, po tylu latach, zdarza mi się głośno powtarzać podczas samotnych spacerów: „Panie i panowie, zakończyliśmy audycję Genève-Musique. Do usłyszenia jutro. Dobrej nocy”. Wuj nie uczynił żadnego gestu, żeby wyłączyć odbiornik, a że sam nie miałem odwagi tego zrobić, w pokoju słychać było przeciągły trzask, odgłos zakłóceń, który w końcu zaczął przypominać szum wiatru w liściach, jadalnię zaś wypełniło coś świeżego i zielonego.

– Yvonne to dobra dziewczyna.

Wydmuchnął zgrabne kółko dymu.

– Znacznie więcej niż dobra dziewczyna – odparłem.

Spojrzał mi prosto w oczy z zainteresowaniem, jakbym wygłosił właśnie jakąś niezwykle głęboką myśl.

– Może byśmy się tak trochę przespacerowali? – zaproponował. – Ścierpły mi nogi.

Wstał i otworzył przeszklone drzwi.

– Nie boi się pan?

Ruchem ręki omiół tonący w ciemnościach hangar, gdzie w regularnych odstępach błyskały nikłe światelka żarówek.

– Przy okazji pokażę panu garaż...

Ledwie postawiłem nogę na obrzeżach tej ogromnej, czarnej przestrzeni, od razu poczułem zapach benzyny, zapach, który zawsze mnie wzruszał – choć właściwie nie wiem dlaczego – zapach przyjemny do wdychania jak zapach eteru czy sreberka po czekoladzie. Ujął mnie pod ramię i zaczęliśmy posuwać się w coraz bardziej mroczne rejony.

– Tak... Yvonne to dziwna dziewczyna...

Próbował zagaic rozmowę. Krążył wokół leżącego mu na sercu tematu, tematu, który zapewne rzadko poruszał w rozmowie. Może zresztą w ogóle poruszał go po raz pierwszy.

– Dziwna, lecz bardzo interesująca – odrzekłem.

I próbując wyartykułować to zdanie wyraźnie, wypowiedziałem je bardzo wysokim, niebywale wręcz czystym dyszkantem.

– Widzi pan... – przed przystąpieniem do zwierzeń zawahał się jeszcze, ścisnął mnie za ramię. – Ona tak bardzo przypomina swego ojca... Mój brat był niezłym narwańcem...

Kroczyliśmy prosto przed siebie. Z wolna oswajałem się z ciemnościami, które co jakieś dwadzieścia metrów rozpraszało światło żarówki.

– Niemało miałem przez nią zmartwień...

Zapalił papierosa. Nagle straciłem go z oczu, a że puścił moje ramię – stąpałem za żarzącym się koniuszkiem jego papierosa. Przyspieszył kroku i przestraszyłem się, że go zgubię.

– Mówię panu to wszystko, bo sprawia pan wrażenie porządnego chłopca...

Zakaszałem. Nie wiedziałem, co powiedzieć.

– Pochodzi pan z dobrej rodziny...

– Och, nie... – zaprotestowałem.

Szedł przede mną; śledziłem wzrokiem czerwony koniuszek jego papierosa. W pobliżu żadnej żarówki. Wyciągnąłem przed siebie ręce, żeby nie wylądować na ścianie.

– Yvonne po raz pierwszy spotyka młodzieńca z dobrej rodziny...

Krótki śmiech. Stłumionym głosem dodał:

– Ma rację?

Ścisnął mnie mocno za ramię na wysokości bicepsów. Stał naprzeciwko. Widziałem jego papieros jarzący się w ciemności. Staliśmy nieruchomo.

– Tyle już narobiła głupstw... – Westchnął. – I teraz jeszcze ta historia z kinem...

Nie widziałem go, ale rzadko zdarzyło mi się wyczuć u kogoś aż tyle znużenia i rezygnacji.

– Na nic się nie zda odwoływanie do rozsądku... Jest taka sama jak jej ojciec... Jak Albert...

Pociągnął mnie za ramię i na nowo podjęliśmy naszą wędrówkę. Ścisnął mnie coraz mocniej.

– Mówię panu o tym wszystkim, bo uważam, że jest pan sympatyczny... i dobrze wychowany...

Odgłos naszych kroków rozbrzmiewał echem w całym pomieszczeniu. Nie pojmowałem, w jaki sposób był w stanie poruszać się pośród tych ciemności. Gdyby mnie zgubił, nie miałbym żadnych szans na odnalezienie drogi.

– Może już wrócimy? – zaproponowałem.

– Bo widzi pan, Yvonne zawsze chciała żyć ponad stan... A to jest niebezpieczne... bardzo niebezpieczne...

Puścił moje ramię, ja zaś, żeby się nie zgubić, uczepiłem się ręką poły jego marynarki. Nawet tego nie zauważył.

– Już jako szesnastolatka potrafiła się tak urządzać, żeby móc kupować tony kosmetyków...

Przyspieszył kroku, ale ja nadal ścisnąłem poły jego marynarki.

– Nie chciała się zadawać z miejscowymi... Woląla letników ze Sportingu... Tak jak jej ojciec...

Trzy żarówki nad naszymi głowami, jedna obok drugiej, oślepiły mnie. Skręcił w lewo i koniuszkami palców pieszczotliwie obmacywał ścianę. Suchy trzask przełącznika. Umocowane na dachu reflektory zalały ostrym światłem cały hangar, który sprawiał przez to wrażenie jeszcze rozleglejszego.

– Przepraszam, ale dopiero tutaj można było zapalić „projektory”...

Znajdowaliśmy się w głębi hangaru. Kilka stojących obok siebie amerykańskich samochodów, stary autobus Chausson z przebitymi oponami. Z lewej strony ujrzałem oszklony warsztat, z wyglądu przypominający oranżerię, obok którego ustawiono w czworobok drewniane donice z roślinami. Ziemia była wysypana żwirem, po ścianie piał się bluszcz. Były tu nawet altanka, stolik i ogrodowe krzesła.

– No i jak się panu podoba moja zielona kawiarenka?

Usiedliśmy naprzeciwko siebie na ogrodowych krzesłach. Położył łokcie na stole, ujął podbródek we wnętrze dłoni. Sprawiał wrażenie wyczerpanego.

– Tutaj robię sobie przerwy, kiedy mam już dość tego grzebania w silnikach... To mój zagajnik...

Gestem wskazał na amerykańskie samochody, potem autobus Chausson za nimi.

– Widzi pan tę kupę złomu na kółkach?

Wykonał znużony ruch, jakby opędzając się od muchy.

– To straszne, kiedy się już nie lubi swojej pracy...

Wykrzywiłem twarz w niedowierzającym uśmiechu.

– Co też pan mówi...

– A czy pan nadal lubi swoją pracę?

– Tak – odpowiedziałem, nie bardzo wiedząc, o jaką pracę mu chodzi.

– Kiedy się ma tyle lat co pan, człowiek jest taki pełen zapału...

Objął mnie ciepłym spojrzeniem, które silnie mnie poruszyło.

– Taki pełen zapału... – powtórzył *mezza voce*.

Siedzieliśmy przy ogrodowym stoliku, tacy maleńcy w tym gigantycznym hangarze. Pojemniki z roślinami, bluszcz i żwir – wszystko to tworzyło niezwykłą oazę. Chroniła nas przed panującą wokół atmosferą przygnębienia: grupa czekających samochodów (jeden z nich nie miał błotnika), w głębi niszczejący autobus. Światło

reflektorów było zimne, ale nie tak żółte jak na schodach i w korytarzu. Nie. To światło miało w sobie coś szarobłękitnego. Lodowaty, szary błękit.

– Napije się pan napoju miętowego? To wszystko, co tu mam...

Udał się do oszklonego warsztatu i wrócił z dwiema szklankami, butelką soku miętowego i karafką wody. Wypiliśmy.

– Bywają takie dni, mój stary, kiedy zastanawiam się, co ja tu właściwie robię...

Tego wieczoru wyraźnie odczuwał potrzebę zwierzeń.

– Dla mnie jednego to za duże. Omiótł ręką przestrzeń hangaru.

– Najpierw opuścił nas Albert... Później moja żona... A teraz znów Yvonne...

– Przecież chyba często pana odwiedza – podsunąłem.

– Nie. Panience zachciało się kręcić filmy... Uważa się za Martine Carol...

– Ależ ona będzie nową Martine Carol – odparłem zdecydowanym głosem.

– E tam... Niech pan nie opowiada głupstw... Jest na to zbyt leniwa.

Nieuważnie przełknął łyk napoju miętowego i zakrztusił się. Zaczął kasłać. Nie mógł przestać, spurpurowiał na twarzy. Jak nic udusił się. Waliłem go mocno w plecy, aż wreszcie kaszel ustał. Popatrzył na mnie wzrokiem pełnym serdeczności.

– Ale nie będziemy sobie przecież psuli humoru z tego powodu...

Mówił głosem jeszcze bardziej niż dotąd stłumionym. Doszczętnie zużytym. Rozumiałem jedynie co drugie słowo, ale to wystarczyło, by dopowiedzieć sobie resztę.

– Miły z pana chłopiec... I uprzejmy...

Hałas gwałtownie zamykanych drzwi, odgłos bardzo odległy, podjęty przez echo. Dochodził z głębi hangaru. Drzwi od jadalni, tam, o jakieś sto metrów od nas. Rozpoznałem sylwetkę Yvonne, jej rude włosy spływające aż po pas, kiedy ich nie upinała. Z miejsca, gdzie byliśmy, sprawiała wrażenie zupełnie maleńkiej. Pies sięgał jej do wysokości piersi. Nigdy nie zapomnę widoku tej dziewczynki i brytana, zmierzających w naszym kierunku i z wolna odzyskujących swe prawdziwe proporcje.

– Otóż i ona – stwierdził wuj. – Nie powtórzy jej pan tego, co mówiłem, prawda? To powinno zostać tylko między nami.

– Ależ oczywiście...

Nie spuszczałyśmy z niej wzroku, gdy szła przez hangar. Pies czujnie stąpał przodem.

– Wygląda jak mała dziewczynka – zauważyłem.

– Tak, zupełnie mała – powiedział wuj. – To dziecko... trudne dziecko...

Zauważyła nas i pomachała ręką. Zawołała: „Victor... Victor...”, a echo tego imienia, które nie było moim, poniosło się przez cały hangar. Podeszła i usiadła przy stoliku, między mną a wujem. Była trochę zadyszana.

– To miłe, że przyszłaś dotrzymać nam towarzystwa – powiedział wuj. – Napijesz się napoju miętowego? Chłodnego? Czy z lodem?

Znów nalał nam po szklance. Yvonne uśmiechnęła się, co jak zawsze przyprawiało mnie niemal o zawrót głowy.

– O czym tak rozmawialiście we dwóch?

– O życiu – odparł wuj.

Zapalił royale’a i wiedziałem, że będzie go tak długo trzymał w kąciku ust, dopóki nie zacznie mu parzyć warg.

– Hrabia jest miły... I bardzo dobrze wychowany.

– Och, tak – zgodziła się Yvonne. – Victor to świetny facet.

– Powtórz to jeszcze raz – powiedział wuj.

– Victor to świetny facet.

– Naprawdę tak uważacie? – spytałem, zwracając się do nich obojga. Musiałem mieć szczególny wyraz twarzy, bo Yvonne uszczypnęła mnie w policzek i jakby pragnąc mnie o tym upewnić, powtórzyła:

– Ależ tak, jesteś świetny.

Dołączył do niej wuj.

– Świetny, mój stary, świetny... Świetny z pana facet...

– No cóż...

W tym momencie umilkłem, ale wciąż jeszcze pamiętam, co zamierzałem wtedy powiedzieć: „Cóż, czy zatem mogę prosić o rękę pańskiej bratanicy?”. Do dziś uważam, że była to idealna chwila, żeby zaproponować jej małżeństwo. Tak. Nie powiedziałem nic. Wuj powtarzał coraz bardziej zachrypniętym głosem:

– Świetny, mój stary, świetny... świetny... świetny...

Pies obserwował nas z łbem wetkniętym między rośliny. Ten wieczór mógł stać się początkiem nowego życia. Nie powinniśmy się byli nigdy rozstawać. Było mi tak dobrze, gdy siedziałem tam z nimi, przy tym ogrodowym stoliku, w tym olbrzymim hangarze, który dziś na pewno już został zburzony.

ROZDZIAŁ XI

Wszystkie te sprawy czas otulił mieniącą się kolorami mgiełką: raz seledynową, to znów błękitnoróżową. Mgiełką? Nie – raczej zasłoną, której rozerwać nie sposób, która tłumi odgłosy i poprzez którą widzę Yvonne i Meinthe’a, ale ich już nie słyszę. Boję się, żeby ich postaci nie zatarły się zupełnie, więc żeby je zatrzymać, staram się przywołać w pamięci jeszcze nieco realiów...

Meinthe był od Yvonne o kilka lat starszy, ale poznali się bardzo wcześnie. Zbliżyły ich ku sobie doskwierająca obojgu nuda życia w tym małym miasteczku oraz plany na przyszłość. Przy pierwszej nadarzającej się okazji zamierzali wyrwać się z tej „dziury” (jedno z określeń Meinthe’a), która ożywała jedynie podczas letnich miesięcy, w „sezonie”. Meinthe związał się był właśnie z pewnym baronem belgijskim, miliarderem mieszkającym w Grand Hotelu w Mentonie. Baron od razu się w nim zadurzył, co mnie nie dziwi, bo Meinthe jako dwudziestolatek nie był pozbawiony pewnej fizycznej atrakcyjności oraz daru zabawiania ludzi. Belg nie odstępował go na krok. Meinthe przedstawił mu Yvonne jako swoją „siostrzyczkę”.

To właśnie baronowi zawdzięczali wyjazd z tej ich „dziury”; wspominali go zawsze niczym własnego ojca. Miał wielką willę w Cap-Ferrat i na stałe wynajmował apartament w Hôtel du Palais w Biarritz oraz drugi w Beau-Rivage w Genewie. Otaczał go mały dwór pasożytów płci obojga, podążający za nim wszędzie, dokąd się udawał.

Meinthe często naśladował przy mnie jego sposób chodzenia. Baron mierzył blisko dwa metry wzrostu i poruszał się szybkim krokiem, mocno zgarbiony. Miał

bardzo osobliwe zwyczaje: latem unikał słońca i całe dni spędzał w apartamencie hotelu Palais lub w salonie swej willi w Cap-Ferrat. Żaluzje i zasłony były zaciągnięte, paliło się światło, kilku zaś efebów obowiązkowo musiało dotrzymać mu towarzystwa, przez co tracili w końcu swą piękną opaleniznę.

Był chimeryczny i nie znosił sprzeciwu. Raz szorstki, w minutę później niezwykle czuły. Mawiał do Meinthe'a z westchnieniem: „W gruncie rzeczy jestem królową Elżbietą belgijską... wiesz, tą biedną, *biedną* królową Elżbietą... A ty, myślę, jesteś w stanie pojąć tę tragedię...”. Przebywając z nim, Meinthe poznał imiona wszystkich członków belgijskiej rodziny królewskiej i potrafił w kilka sekund nagryzmolić na rogu papierowej serwety całe ich drzewo genealogiczne. Nieraz robił to przy mnie, bo widział, że mnie to bawiło.

Od tego też momentu datuje się jego kult dla królowej Astrid. Baron był w owym czasie mężczyzną pięćdziesięcioletnim. Wiele podróżował i znał mnóstwo interesujących i wyrafinowanych ludzi. Często odwiedzał swego sąsiada w Cap-Ferrat, angielskiego pisarza Somerseta Maughama, z którym łączyła go zażyła znajomość. Meinthe zapamiętał pewien obiad w towarzystwie Maughama. Maughama, dla niego będącego kimś nieznanym.

Gośćmi barona bywały także inne osoby, mniej sławne, lecz „zabawne”, zwabione wystawnością jego kaprysów. W ten sposób powstała „paczka”, której członkowie żyli na niekończących się wakacjach. W tamtych czasach z willi w Cap-Ferrat wyjeżdżało się w pięć lub sześć kabrioletów, by potańczyć w Juan-les-Pins lub wziąć udział w „Toros de Fuego” w Saint-Jean-de-Luz. Jedynie „paczki” Jacques'a Fatha i Władimira Rachewskiego mogły konkurować z „paczką” barona.

Yvonne i Meinthe byli wśród nich najmłodszy. Ona miała lat zaledwie szesnaście, on dwadzieścia. Byli bardzo lubiani. Prosiłem, żeby mi pokazali jakieś zdjęcia, ale żadne z nich – jak utrzymywali – ich nie zachowało. Niechętnie zresztą wspominali o tym okresie.

Baron zginął w tajemniczych okolicznościach. Samobójstwo? Wypadek samochodowy? Meinthe wynajął mieszkanie w Genewie i zamieszkał wspólnie z Yvonne. Później Yvonne zaczęła pracować jako modelka w mediolańskim domu

mody, lecz mówiła o tym bardzo ogólnikowo. Czy w tym czasie Meinthe uczęszczał na wydział medycyny? Często twierdził, że „praktykuje w Genewie jako lekarz”, a ja za każdym razem miałem ochotę zapytać: jakiej specjalności? Yvonne krążyła między Rzymem, Mediolanem i Szwajcarią. Była, jak to się mówi, lotną modelką. Tyle mi w każdym razie sama powiedziała. Kiedy spotkała Madeję – w Rzymie, w Mediolanie czy też za czasów paczki barona? Gdy pytałem, w jaki sposób się poznali i dlaczego ją właśnie wybrał do roli w *Liebesbriefe auf der Berg*, zrećtnie uchylała się od odpowiedzi.

Ani ona, ani Meinthe nigdy nie opowiadali o swym życiu szczegółowo, udzielali mi tylko mglistych, często sprzecznych informacji.

Zdołałem jednak w końcu zidentyfikować belgijskiego barona, który zabrał ich z prowincji i woził z sobą po Lazurowym Wybrzeżu i do Biarritz (nie chcieli podać jego nazwiska. Wstyd? Chęć zmylenia tropów?). Ale ja któregoś dnia i tak odnajdę wszystkie osoby z jego dawnej „paczki” i może którąś z nich przypomni sobie Yvonne... Pojadę do Genewy, do Mediolanu... Czy zdołam odnaleźć bodaj niektóre brakujące fragmenty tej łamigłówki, jaką mi po sobie zostawili?

Kiedy ich spotkałem, było to pierwsze od bardzo długiego czasu lato, które spędzali w swym rodzinnym mieście i – po tych wszystkich latach nieobecności, poprzedzielanej krótkimi powrotami – czuli się tu obco. Yvonne wyznała mi, że byłaby zdziwiona, gdyby jej, szesnastolatce, powiedziano, że pewnego dnia zamieszka w Hermitage i że będzie jej się wydawało, że znalazła się w jakimś nieznanym kurorcie. Początkowo obruszałem się na takie wypowiedzi. Ja, którego marzeniem było urodzić się w takim właśnie małym, prowincjonalnym miasteczku, nie pojmowałem, jak można się odcinać od miejsca swego dzieciństwa, od ulic, placów i domów składających się na rodzimy krajobraz. Na fundament. Nie wracać do niego z bijącym sercem. Z powagą przedstawiałem Yvonne mój punkt widzenia apatrydy. Nie słuchała mnie. Leżała wyciągnięta na łóżku w swym podartym, jedwabnym szlafroku, paląc papierosy Muratti (z powodu ich nazwy: uważała, że Muratti brzmi bardzo szykownie, egzotycznie i tajemniczo. Ta włosko-egipska nazwa sprawiała, że aż ziewałem z nudów, zanadto mi bowiem przypominała moje własne nazwisko). Mówiłem jej o szosie numer 201, o kościele św. Krzysztofa i garażu jej wuja. A kino

Splendid? A ulica Royale, którą musiała przecież chodzić, mając lat szesnaście, przystając przed każdą wystawą? I tyle jeszcze innych miejsc, których nie znałem, a które przecież musiały się wiązać w jej duszy z jakimiś wspomnieniami. Na przykład dworzec albo ogrody kasyna. Wzruszała ramionami. Nie. Wszystko to nic już dla niej nie znaczyło.

Często zabierała mnie jednak z sobą w miejsce będące czymś w rodzaju dużej herbaciarni. Przychodziliśmy tam około drugiej po południu, gdy letnicy byli na plaży albo odbywali sjęstę. Szło się wzdłuż arkad, za Taverne przechodziło na drugą stronę ulicy, potem znów wzdłuż arkad. Opasywały one dwa wielkie bloki budynków, wybudowanych w tej samej epoce co kasyno, i przypominały domy mieszkalne z lat trzydziestych na obrzeżach XVII dzielnicy, przy bulwarach Gouvion-Saint-Cyr, Dixmude, Yser i Somme. Herbaciarnia nazywała się Réganne, a od słońca chroniły ją arkady. Nie było tu ogródka jak w Taverne. Nietrudno było zgadnąć, że lokal miał niegdyś swą godzinę chwały, teraz jednak jego miejsce zajęła Taverne. Siadaliśmy przy stoliku w głębi sali. Dziewczyna z kasy, krótkowłosa brunetka imieniem Claude, była przyjaciółką Yvonne. Przysiadła się do nas. Yvonne wypytywała ją o nowiny o ludziach, o których rozmawiała z Meinthe'em. Tak, Rosy zastąpiła swojego ojca i prowadzi teraz hotel La Clusaz. Paulo Hervieu pracuje w branży antyków. Pimpin Lavorel nadal jeździ jak wariat. Kupił sobie właśnie jaguara. Claude Brun był w Algierii. „Yéyette” zniknęła...

– A jak tobie powodzi się w Genewie? – pytała Claude.

– No cóż, wiesz... nieźle... nieźle... – odpowiadała Yvonne, myśląc o czymś zupełnie innym.

– Mieszkaś u siebie?

– Nie. W Hermitage'u.

– W Hermitage'u?

Uśmiechnęła się ironicznie.

– Musisz przyjść zobaczyć mój pokój – zapraszała Yvonne – jest ekstra...

– O tak, chętnie wpadnę... Któregoś wieczoru...

Wypijała z nami kieliszek. Wielka sala Réganne była pusta. Na ścianie słońce

kreśliło siatkę. Za ladą z ciemnego drewna malunek przedstawiający jezioro i łańcuch Aravisów.

– Nikt tu już nie przychodzi – stwierdzała Yvonne.

– Sami tylko starzy... – mówiła Claude. Uśmiechała się z zakłopotaniem.

– Inaczej niż wtedy, co?

Yvonne także próbowała się roześmiać. Potem milkły. Claude kontemplowała swoje paznokcie, obcięte bardzo krótko i polakierowane na pomarańczowo. Nie miały sobie już nic do powiedzenia. Ja tymczasem chciałem je zapytać o tak wiele rzeczy. Na przykład, kim była Rosy? A Paulo Hervieu? Od kiedy się znali? Jaka była Yvonne jako szesnastolatka? A Réganne, nim zamieniono ją w herbaciarnię? Wszystko to jednak nie interesowało tak naprawdę ani jednej, ani drugiej. Tylko ja jeden byłem ciekaw ich przeszłości francuskich księżniczek.

Claude towarzyszyła nam do drzwi obrotowych, Yvonne całowała ją na pożegnanie. Znow proponowała:

– Wpadnij do Hermitage’u, kiedy tylko będziesz miała ochotę... Zobaczysz pokój...

– Zgoda, któregoś wieczoru...

Nigdy jednak nie przysła.

Wyglądało na to, że oprócz Claude i wuja Yvonne nie zostawiła za sobą nic w tym mieście, mnie zaś dziwiło, jak można od swych korzeni odciąć się tak szybko – skoro już się tak szczęśliwie złożyło, że w ogóle gdzieś się jakieś miało.

Pokoje w luksusowych hotelach początkowo stwarzają złudzenia, ale już wkrótce z ich ścian i posępnych mebli zaczyna emanować taki sam smutek jak w podrzędnych hotelikach. Banalny zbytek, w korytarzach mdły zapach, którego nie potrafię zidentyfikować, ale który musi być właśnie wonią niepokoju, nietrwałości, wygnania i tandety. Zapach, który nie odstępował mnie na krok. Hotelowe halle, w których umawiał się ze mną ojciec, z tymi wszystkimi witrynami, lustrami i marmurami, były jedynie poczekalniami. Na co właściwie się czekało? Stęchła woń nansenowskich paszportów.

Nie wszystkie jednak noce spędzaliśmy w Hermitage’u. Dwa lub trzy razy

w tygodniu Meinthe prosił nas, żebyśmy u niego nocowali. W te wieczory bywał nieobecny i zlecał mi odbieranie telefonów, notowanie nazwisk i „komunikatów”. Już za pierwszym razem zaznaczył, że telefon może zadzwonić o każdej porze nocy, nie wyjaśniając jednak, kim byli jego tajemniczy rozmówcy.

Mieszkał w domu należącym niegdyś do jego rodziców, w samym centrum dzielnicy willowej, przed bulwarem Carabacel. Szło się tam aleją Albigny i zaraz za prefekturą skręcało w lewo. Wyludniona dzielnica, ulice obsadzone drzewami, których korony stykały się z sobą, tworząc sklepienia. Wille miejscowego mieszczaństwa, różnej wielkości i stylu, zależnie od stopnia zamożności. Ta, która należała do Meinthe'ów, na rogu alei Jean-Charcot i ulicy Marlioz, wyglądała dość skromnie w porównaniu z innymi. Koloru błękitnopozielatego, miała małą werandę od strony alei Jean-Charcot i bow-window od ulicy. Dwupiętrowa, drugie piętro mansardowe. Ścieżki w ogrodzie były wysypane żwirem. Zanedbany żywopłot. A na odrapanej bramie z białego drewna Meinthe własnoręcznie, jak mi wyznał, wypisał niezdarnie czarnymi literami: Willa Triste*.

Nie emanowała z niej atmosfera radości, to pewne. Początkowo wydawało mi się jednak, że nazwanie jej „smutną” nie bardzo do niej pasowało. Ale potem zrozumiałem, że Meinthe miał rację, pod warunkiem że w brzmieniu słowa „smutna” dopatry się czegoś słodkiego i kryształowego. Wchodzącego do środka ogarniało uczucie przejrzystej melancholii. Wkraczał w strefę spokoju i ciszy. Powietrze wydawało się tu lżejsze; człowiek miał wrażenie, że się w nim unosi. Meble prawdopodobnie wyniesiono. Została jedynie ciężka skórzana kanapa, na której bocznych oparciach znać było ślady pazurów, oraz, z lewej strony, oszklona biblioteka. Siadając na kanapie, jakieś pięć, sześć metrów przed sobą miało się werandę. Parkiet był jasny, lecz zanedbany. To wielkie pomieszczenie oświetlała fajansowa lampa z żółtym abażurem, stojąca na podłodze. Telefon znajdował się w sąsiednim pokoju, do którego wchodziło się z korytarza. Tutaj również nie było mebli. Okno osłonięte czerwonymi kotarami. Ściany, podobnie jak w salonie, były barwy ochry. Pod ścianą z prawej strony polowe łóżko. Na przeciwległej ścianie wisiała mapa Taridy we francuskiej Afryce Zachodniej oraz wielki widok Dakaru z lotu ptaka w wąziutkiej ramce – wyglądał, jakby pochodził z ośrodka informacji

turystycznej. To poźółkłe zdjęcie musiało mieć dobre dwadzieścia lat. Od Meinthe'a wiedziałem, że jego ojciec przez jakiś czas pracował „w koloniach”. W nogach łóżka stał telefon. Mały żyrandol ze sztucznymi świeczkami i sztucznymi kryształami. Była to, jak przypuszczałem, sypialnia Meinthe'a.

Otwieraliśmy oszklone drzwi werandy i kładliśmy się na kanapie. Skóra, którą była pokryta, miała bardzo szczególny zapach; tak pachniała tylko ona oraz te dwa fotele, które stały w biurze mojego ojca przy ulicy Lord-Byron. Było to w okresie jego podróży do Brazzaville, w czasach tajemniczego i efemerycznego Afrykańskiego Towarzystwa Przedsiębiorczości, które sam powołał do życia i o którym niewiele mi wiadomo. Zapach kanapy, mapa Taridy we francuskiej Afryce Zachodniej i lotnicze zdjęcie Dakaru składały się na pewien ciąg zbiegów okoliczności. W moim odczuciu dom Meinthe'a nierozzerwalnie był związany z „Afrykańskim Towarzystwem Przedsiębiorczości”; tymi trzema słowami będącymi kołysanką mojego dzieciństwa. Odnajdowałem tu atmosferę biura z ulicy Lord-Byron; zapach skóry, półmrok, niekończące się narady ojca z wytwornymi Murzynami o srebrzystych włosach... Czy to dlatego, gdy siedziałem w salonie z Yvonne, ogarniała mnie pewność, że czas zatrzymał się na dobre?

Unosiliśmy się w powietrzu. Nasze gesty były nieskończenie powolne i zmieniając miejsce, robiliśmy to centymetr po centymetrze, pełzając. Zbyt gwałtowny ruch zniweczyłby urok. Rozmawialiśmy ściszonymi głosami. Od strony werandy napływał zmrok, obejmując w posiadanie pokój; widziałem drobiny kurzu znieruchomiałe w powietrzu. Przejechał rowerzysta, jeszcze długo potem słychać było szum roweru. On również posuwał się centymetr po centymetrze. Unosił się w powietrzu. Wszystko wokół unosiło się w powietrzu. Nie zapalaliśmy światła nawet po zapadnięciu kompletnych ciemności. Najbliższa latarnia na ulicy Jean-Charcot rozsiewała wokół śnieżną jasność. Nie wychodzić nigdy z tej willi. Nie wychodzić nigdy z tego pokoju. Trwać tak, leżąc na kanapie albo na ziemi, co robiliśmy coraz częściej. Byłem zdziwiony, odkrywając u Yvonne taką umiejętność rozluźnienia się. U mnie wynikało to z obawy przed ruchem, z niepokoju, jakiego doznawałem wobec wszystkiego, co się porusza, co mija i co się zmienia, z pragnienia, by zaprzestać wreszcie tego marszu po ruchomych piaskach, osiąść gdzieś, zastygnąć. Ale u niej? Myślę, że była po prostu

leniwa. Jak alga.

Niekiedy kładliśmy się w korytarzu i zostawialiśmy tak przez całą noc. Pewnego wieczoru wśliznęliśmy się do schowka pod schodami prowadzącymi na pierwsze piętro; byliśmy wciśnięci między jakieś niezidentyfikowane masy przedmiotów, w których rozpoznałem wiklinowe kufry. Ależ skąd, wcale nie śnię – poruszaliśmy się, pełzając. Każde wyruszało z przeciwnego punktu domu i czołgało się w ciemnościach. Chodziło o to, żeby zachowując się jak najciszej i jak najwolniej poruszając, podejść z zaskoczenia to drugie.

Pewnego razu Meinthe wrócił następnego dnia dopiero wieczorem. Nie ruszyliśmy się z willi. Leżeliśmy na podłodze przy samej werandzie. Na kanapie drzemał pies. Było spokojne, słoneczne popołudnie. Liście drzew poruszały się delikatnie. Odległa muzyka wojskowa. Niekiedy aleją z chrzęstem kół przejeżdżał rowerzysta. Niedługo wszelkie odgłosy umilkną stłumione przez warstwę delikatnej waty. Myślę, że gdyby nie przybycie Meinthe'a, przez długie dni w ogóle byśmy się stąd nie ruszyli; prędzej umarlibyśmy z głodu i pragnienia, niż opuścili willę. Nigdy już potem nie przeżyłem chwil równie pełnych i opieszale płynących co tamte. Takich odczuć dostarcza podobno opium. Ale ja w to wątpię.

Telefon dzwonił zawsze po północy, wydając terkoczący na dawną modłę odgłos. Delikatny dźwięk, doszczętnie zużyty. Ale to wystarczyło, by powstała atmosfera zagrożenia, by pękła spowijająca nas zasłona. Yvonne nie chciała, żebym odbierał. „Nie idź” – szeptała. Czołgałem się po omacku przez korytarz, nie mogłem znaleźć drzwi do pokoju, wyrznąłem głową o ścianę. A potem trzeba było jeszcze doczołgać się do aparatu, i to nie mając żadnego widocznego punktu odniesienia. Przed podniesieniem słuchawki ogarniało mnie uczucie paniki. Ten głos – zawsze ten sam – przerażał mnie, twardy, a przecież z jakiegoś powodu stłumiony. Z powodu odległości? Czasu? (Niekiedy miało się wrażenie, że to jakieś stare nagranie). Początek był niezmiennie ten sam:

– Halo, tu Henri Kustiker... Czy pan mnie słyszy?

Odpowiadałem: „Tak”.

Pauza.

– Powie pan doktorowi, że czekamy na niego jutro o dwudziestej pierwszej w Bellevue w Genewie. Zrozumiał pan?

Wyrzucałem z siebie „tak” głosem jeszcze słabszym niż poprzednio. Odkładał słuchawkę. Jeśli nie wyznaczał spotkania, przekazywał komunikat:

– Halo, tu Henri Kustiker... – Pauza. – Powie pan doktorowi, że przyjechali komendant Max i Guérin. Przyjdziemy zobaczyć się z nim jutro wieczorem... jutro wieczorem...

Nie byłem w stanie wykrztusić odpowiedzi. Już się rozłączył. „Henri Kustiker” – Meinthe nieodmiennie zbywał milczeniem nasze pytania o niego – stał się dla nas jakimś niebezpiecznym typem: czuliśmy, jak nocą krąży wokół willi. Nie znaliśmy jego twarzy i przez to jawił się nam coraz natrętniej. Lubilem straszyć Yvonne, odsuwając się od niej i powtarzając w ciemnościach grobowym głosem:

– Tu Henri Kustiker... Tu Henri Kustiker...

Zaczynała krzyczeć. Jej strach udzielał się i mnie. Z bijącym sercem czekaliśmy na terkotanie telefonu. Kuliliśmy się pod polowym łóżkiem. Pewnej nocy zadzwonił, ale telefon udało mi się odebrać dopiero po wielu minutach, zupełnie jak w tych złych snach, kiedy to każdy ruch ciąży jak ołów.

– Halo, tu Henri Kustiker...

Nie byłem w stanie wykrztusić bodaj najprostszej sylaby.

– Halo, słyszy mnie pan?... Słyszy mnie pan?

Głos stawał się coraz słabszy.

– Kustiker... Henri Kustiker... Słyszy mnie pan?...

Kim był? Skąd telefonował? Jeszcze jeden słaby pomruk.

– Tiker... słyszy pan...

I potem już nic. Ostatnia nić wiążąca nas ze światem zewnętrznym została zerwana. Na nowo ześlizgiwaliśmy się w otchłań, tam gdzie nikt, jak miałem nadzieję, nie będzie nam już więcej przeszkadzał.

* *Triste* (franc.) – smutny, smutna.

ROZDZIAŁ XII

To już jego trzecie „jasne” porto. Nie spuszcza wzroku z wielkiej fotografii Hendrickxa nad rzędami butelek. Hendrickxa z czasów swej świetności, dwadzieścia lat przedtem, nim wpadłem we wściekłość, widząc go tańczącego z Yvonne w wieczór Pucharu Houligant. Hendrickxa młodego i smukłego, i romantycznego – skrzyżowanie Mermoza z księciem Reichstadtu; stare zdjęcie, które pokazała mi dziewczyna prowadząca bufet w Sportingu tego dnia, kiedy wypytywałem ją o mego „rywala”. Od tamtej pory sporo mu się przytyło.

Wyobrażam sobie, że kontemplując ów historyczny dokument, Meinthe uśmiechnął się w końcu, tym swoim nieoczekiwanym uśmiechem, który nigdy nie wyrażał wesołości, a tylko rodzaj nerwowego wyładowania. Czy myślał o wieczorze pucharowym, gdy całą trójką znaleźliśmy się w Sainte-Rose? Pewnie liczył lata: pięć, dziesięć, dwanaście... Miał manię liczenia lat i dni. „Za rok i trzydzieści trzy dni będą moje dwudzieste siódme urodziny... Znamy się z Yvonne już siedem lat i pięć dni...”.

Drugi klient wyszedł chwiejnym krokiem, uregulowawszy za swoje *dry*, ale odmawiając zapłacenienia za połączenia telefoniczne, gdyż, jak twierdził, nigdy nie zamawiał „223 w Chambéry”. A ponieważ zanosilo się na to, że dyskusja może się przeciągnąć do bladego świtu, Meinthe wyjaśnił mu, że sam zapłaci za telefon. Zresztą to on, Meinthe, zamawiał 233 w Chambéry. On i tylko on.

Zbliża się północ. Meinthe obrzuca ostatnim spojrzeniem fotografię Hendrickxa i kieruje się do wyjścia z „Cintry”. Już w samych drzwiach mija go dwóch mężczyzn, którzy potrącają go, ledwo przeprosiwszy. Potem trzech. Potem pięciu. Jest ich coraz

więcej i wciąż nadciągają nowi. Wszyscy mają przypiętą do klapy płaszcza małą prostokątną plakietkę z napisem „Inter-Touring”. Rozmawiają bardzo głośno, śmieją się bardzo głośno, klepią z rozmachem po plecach. Uczestnicy „kongresu”, o którym mówiła przed chwilą barmanka. Jeden z nich, otoczony najliczniejszą grupą, pali fajkę. Tamci kręcą się wokół niego i wołają „Prezes! Prezes! Prezes!”. Meinthe bezskutecznie usiłuje utorować sobie drogę. Odepchnęli go niemal pod bar. Tworzą zwarte grupy. Meinthe okrąża je, próbuje się przez nie przebić, prześliznąć, lecz pod ich naporem znowu musi się cofnąć. Zaczyna się pocić. Jeden z obecnych, wzięwszy go przypuszczalnie za jednego ze swoich, kładzie mu dłoń na ramieniu i Meinthe natychmiast zostaje wciągnięty w krąg grupy „prezesa”. Ścisk taki jak na stacji Chaussée d’Antin w godzinach szczytu. Prezes, najniższy wzrostem, osłania dłonią swą fajkę. W końcu Meinthe’owi udaje się wyrwać z tej kotłowaniny; wali ramieniem, rozdaje kuksańce i rzuca się do drzwi. Uchyła je, wyślizguje się na ulicę. Jakiś człowiek wychodzi za nim, pyta strofującym tonem:

– Dokąd pan idzie? Jest pan z „inter-Touring”?

Meinthe nie odpowiada.

– Powinien pan zostać. Prezes stawia „kolejkę”. Niechże pan zostanie...

Meinthe przyspiesza kroku. Tamten powtarza błagalnym tonem:

– Niech pan zostanie...

Meinthe idzie coraz szybciej. Tamten zaczyna krzyczeć:

– Prezes zorientuje się, że brak jednego faceta z „Inter-Touring”... Niech pan wraca... Niech pan wraca...

Jego głos niesie się czystym echem po pustej ulicy.

Meinthe stoi teraz przed fontanną kasyna. Zimą nie zmienia ona kolorów i woda tryska o wiele niżej niż w „sezonie”. Przez chwilę przygląda się, po czym przechodzi na drugą stronę alei Albigny i idzie chodnikiem po prawej. Kroczy wolno, z lekka się zataczając. Sprawia wrażenie człowieka błakającego się bez celu. Niekiedy delikatnie poklepie korę platanu. Mija budynek prefektury. Skręca oczywiście w pierwszą ulicę w prawo, która – o ile mnie pamięć nie myli – nazywa się aleja Mac-Croskey. Przed dwunastu laty nie było tego szeregu nowych domów mieszkalnych. W tym miejscu

rozciągał się zapuszczony park, pośrodku którego wznosił się wielki, niezamieszkały dom w stylu anglo-normandzkim. Dochodzi do skrzyżowania Peiliot. Yvonne i ja przysiadaliśmy tutaj często na jednej z ławek. Skręca w prawo w aleję Pierre-Forsans. Tą drogą mógłbym iść nawet z zamkniętymi oczami. Dzielnica niewiele się zmieniła. Z niewiadomych powodów oszczędzono ją. Te same wille otoczone ogrodami i niskimi żywopłotami, te same drzewa po obu stronach ulicy. Tyle że ogołoczone z liści. Zima spowija wszystko aurą przygnębienia.

A oto i ulica Marlioz. Willa stoi tam na rogu, z prawej. Widzę ją. I widzę ciebie, jak zwalniasz kroku i jak pchnięciem ramienia otwierasz drewnianą bramę. Usiadłeś na kanapie w salonie i nie zapaliłeś światła. Latarnia naprzeciwko rozsiewa swą srebrzystą jasność.

„Ósmego grudnia, w nocy z piątku na sobotę... lekarz z A... pan René Meinthe, lat trzydzieści siedem, zmarł śmiercią samobójczą w swoim domu. Samobójca otworzył gaz”.

Szedłem właśnie – już nie pamiętam dlaczego – ulicą Castiglione wzdłuż arkad, gdy w wieczornym wydaniu gazety przeczytałem tych kilka zdań. Dziennik lokalny, „Le Dauphiné” przynosił więcej szczegółów. Meinthe’a uhonorowano tytułem na pierwszej stronie: „Samobójstwo lekarza z A...”, odsyłającym do strony szóstej zawierającej wiadomości lokalne:

Ósmy grudnia. Zeszłej nocy doktor René Meinthe odebrał sobie życie w swej willi w alei Jean-Charcot. Panna B., gospodyni doktora, wchodząc jak co ranka do domu, natychmiast poczuła zapach gazu. Było już jednak za późno. Doktor Meinthe pozostawił list.

Wczoraj wieczorem widziano go na dworcu w momencie przyjazdu paryskiego ekspresu. Jak wynika z jednego z zeznań, spędził on kilka chwil w Cintrze, przy ulicy Sommeiller 23.

Praktykujący w Genewie doktor René Meinthe pięć lat temu powrócił do swego rodzinnego miasta, A. Praktykował tu jako osteopata. Wiedziano, że ma pewne kłopoty zawodowe. Czyżby to one miały być przyczyną jego desperackiego kroku?

Miał trzydzieści siedem lat. Był synem doktora Henri’ego Meinthe’a, bohatera i męczennika Ruchu Oporu, którego imieniem nazwano jedną z ulic naszego miasta.

Szedłem na oślep przed siebie. Nogi same zaniósły mnie na plac Carrousel. Przeciąłem go i znalazłem się w jednym z dwóch małych ogrodów otaczających Luwr przed Cour Carrée. Świeciło łagodne zimowe słońce, na spadzistym trawniku, u stóp pomnika generała La Fayette'a bawiły się dzieci. Śmierć Meinthe'a sprawiła, że pewne sprawy na zawsze już pozostaną niewyjaśnione. Nigdy więc nie dowiem się, kim był Henri Kustiker. Głośno powtarzałem to nazwisko: Kus-ti-ker, Kus-ti-ker; nazwisko, które nie miało już żadnego sensu dla nikogo z wyjątkiem mnie. I Yvonne. A co stało się z nią samą? Tym, co sprawia, że czyjeś zniknięcie odczuwa się jeszcze boleśniej, są pewne hasła, których się niegdyś używało, a które raptem stają się puste i bezużyteczne.

Kustiker... Swego czasu snułem tysiące najbardziej fantastycznych domysłów, prawda jednak – czułem to – musiała być również niezwykła. I niepokojąca. Kilkakrotnie Meinthe zapraszał nas do siebie na herbatę. Któregoś popołudnia, około piątej, siedzieliśmy w salonie, słuchając ulubionej arii René, *The Café Mozart Waltz*, z płyty, którą nastawiał wciąż na nowo. Nagle rozległ się dzwonek u drzwi. Meinthe usiłował zapanować nad nerwowym tikiem. Na podeście ujrzałem – Yvonne widziała ich również – dwóch mężczyzn podtrzymujących trzeciego, którego twarz zalana była krwią. Szybko przeszli przez przedpokój i weszli do sypialni Meinthe'a. Usłyszałem, jak jeden z nich mówi:

– Zrób mu zastrzyk z kamfory. Inaczej ta dziwka wykituje nam na rękach.

Tak. Yvonne też to słyszała. René wrócił do nas i poprosił, żebyśmy się natychmiast zmywali. Suchym tonem powiedział:

– Potem wam wytłumaczę...

Nie wytłumaczył, ale wystarczyło mi zobaczyć tych dwóch, żeby zorientować się, że byli „policjantami” lub osobnikami mającymi jakieś powiązania z policją. Pewne skojarzenia, pewne komunikaty Kustikera upewniły mnie w tym przekonaniu. Było to w czasach wojny algierskiej i Genewa, dokąd często udawał się Meinthe, była swego rodzaju centrum przerzutowym. Różnego rodzaju agenci. Służby specjalne. Tajne siatki. Nie mogłem się w tym nigdy połapać. Jaką rolę odgrywał w tym wszystkim René? Nieraz wyczuwałem, że miałby ochotę mi się zwierzyć, ale z pewnością uważał

mnie za zbyt młodego. A może po prostu kiedy miał przystąpić do zwierzeń, ogarniało go znużenie tak wielkie, że wolał swój sekret zachować dla siebie.

Pewnego jednak wieczoru, gdy nie dawałem mu spokoju, wypytując niby żartem, kim jest ten Henri Kustiker, a Yvonne droczyła się z nim, powtarzając rytualne: „Halo, tu Henri Kustiker...”, sprawiał wrażenie bardziej niż zwykle spiętego.

– Gdybyście tylko wiedzieli, co te sukinsyny mogą mi zrobić – powiedział głucho. I ostrym głosem dorzucił: – A to dlatego, że mam gdzieś te ich wszystkie algierskie historyjki...

W minutę później odzyskał swą zwykłą niefrasobliwość i dobry humor i zaproponował, żebyśmy pojechali do Sainte-Rose.

Po upływie dwunastu lat uświadomiłem sobie, jak niewiele w gruncie rzeczy wiem o René Meinthe’u, i wyrzucałem sobie swój brak ciekawości w czasach, gdy widywaliśmy się codziennie. Teraz postaci Meinthe’a i Yvonne zamazały się; miałem wrażenie, jakbym spoglądał na nich poprzez matową szybę.

Tam, na tej ławce na skwerku, z leżącą obok gazetą zawiadamiającą o śmierci Meinthe’a, powróciły do mnie raz jeszcze krótkie – i jak zawsze niewyraźne – sekwencje z tamtego sezonu. Na przykład pewien sobotni wieczór, gdy jedliśmy z Meinthe’em kolację w małej knajpce nad jeziorem. Koło północy nasz stół otoczyła grupka chuliganów, którzy zaczęli nas zaczepiać. Meinthe z absolutnie zimną krwią schwycił butelkę i rozbiwszy ją o kant stołu, potrząsnął najeżoną szpikulcami szkła szyjką.

– Pierwszemu, który podejdzie, rozkwaszę gębę...

Powiedział to tonem złośliwej wesołości, który mnie przeraził. Tamtych zresztą również, gdyż wycofali się. W czasie drogi powrotnej René szepnął:

– Pomyśleć tylko, że wystraszyli się królowej Astrid...

Królową tę darzył szczególną admiracją; nosił zawsze z sobą jej zdjęcie. W końcu sam uwierzył, że w swym poprzednim wcieleniu był młodą, piękną i nieszczęśliwą królową Astrid. Wraz z fotografią królowej nosił zdjęcie nas trojga z wieczoru pucharowego. Mam i inne, zrobione w alei Albigny, to, na którym Yvonne trzyma mnie pod rękę. Obok nas stoi pies w pozie wielkiej powagi. Można by je wziąć za

zdjęcie zaręczynowe. I mam jeszcze jedno, o wiele starsze, które dostałem od Yvonne. Zrobione za czasów barona. Widać na nim ją i Meinthe'a siedzących w słoneczne popołudnie na tarasie baru „Basque” w Saint-Jean-de-Luz.

To jedyne wyraźne obrazy. Resztę spowija mgła. Hall i pokój w Hermitage'u. Willę Triste. Sainte-Rose. Sporting. Kasyno. Houligant. I cienie Kustikera (tylko kim był ten Kustiker?), Yvonne Jacquet i niejakiego hrabiego Chmary.

ROZDZIAŁ XIII

Działo się to mniej więcej w tym samym czasie, kiedy odeszła od nas Marilyn Monroe. Sporo o niej czytałem w różnych czasopismach i stawiałem ją za przykład Yvonne. Ona również mogłaby, gdyby tylko chciała, zrobić wielką karierę filmową. Prawdę powiedziawszy, miała tyleż samo uroku co Marilyn Monroe. Żeby jeszcze tylko mogła mieć tyle samo wytrwałości.

Leżąc na łóżku, słuchała mnie w milczeniu. Mówiłem jej o trudnych początkach Marilyn Monroe, o jej pierwszych zdjęciach do kalendarzy, pierwszych małych rólkach, o kolejnych szczeblach, po których się wspinała. Ona, Yvonne Jacquet, nie powinna zatrzymywać się w pół drogi. „Lotna modelka”. Potem główna rola w *Liebesbriefe auf dem Berg* Rolfa Madei. I niedawno zdobyła puchar Houligant. Każdy z tych etapów miał swoją wagę. Pora pomyśleć o następnym. Wspiąć się nieco wyżej. Nieco wyżej.

Nie przerywała, gdy roztaczałem przed nią moje własne wizje jej „kariery”. Czy w ogóle mnie słuchała? Początkowo zapewne zaskoczyło ją takie zainteresowanie z mojej strony; schlebiało jej, że z takim zaangażowaniem rozprawiałem o jej wspaniałej przyszłości. Może nawet chwilami udzielał jej się mój entuzjazm i ona także zaczynała marzyć. Nie trwało to jednak chyba długo. Była starsza ode mnie. Im dłużej się nad tym zastanawiam, tym większego nabieram przekonania, że osiągnęła właśnie ten etap młodości, kiedy wkrótce wszystko się zmieni lub też na wszystko będzie już za późno. Statek stoi jeszcze przy nabrzeżu, wystarczy przejść przez kładkę, zostało już tylko kilka minut... Człowieka ogarnia słodkie odrętwienie.

Bywało, że moje wywody ją rozśmieszały. Zauważyłem nawet, że wzruszyła ramionami, gdy powiedziałem, że producenci z pewnością zauważą jej rolę w *Liebesbriefe auf dem Berg*. Nie wierzyła w to. Brakowało jej świętego ognia. Ale Marilyn Monroe też go z początku nie miała. Święty ogień przychodzi dopiero z czasem.

Często zastanawiam się, co się z nią teraz dzieje. Nie jest już na pewno taka sama jak wtedy i muszę zerkać na zdjęcia, żeby przypomnieć sobie jej twarz z tamtego okresu. Od lat daremnie próbuję obejrzeć *Liebesbriefe auf dem Berg*. Ludzie, których pytałem, powiedzieli mi, że taki film w ogóle nie istnieje. Nawet nazwisko Rolfa Madei niewiele im mówiło. Szkoda. W kinie odnalazłbym jej głos, jej gesty i spojrzenie, które znałem. I kochałem.

Gdziekolwiek jest – a przypuszczam, że bardzo daleko – czy pamięta choć trochę o projektach i marzeniach, jakie snułem niegdyś w pokoju w Hermitage’u, przygotowując jedzenie dla psa? Czy pamięta o Ameryce?

Nawet jeśli dni i noce spędzaliśmy w stanie błógiego wyczerpania, nie przeszkadzało mi to myśleć o naszej wspólnej przyszłości, która rysowała mi się coraz wyraźniej.

Wiele rozmyślałem o małżeństwie Marilyn Monroe i Arthura Millera, małżeństwie rdzennej Amerykanki z Żydem pochodzącym z głębokiej prowincji. Nam, Yvonne i mnie, były pisane podobne losy. Ona, mała Francuzka z zaścianka, która za kilka lat będzie gwiazdą filmową. I ja, który w przyszłości zostanę żydowskim pisarzem w wielkich rogowych okularach.

Ale Francja raptem wydała mi się terenem zbyt ciasnym, gdzie nie zdołam udowodnić, ile naprawdę jestem wart. Do czegoż bowiem mogłem aspirować w tym małym kraju? Handel antykami? Praca kolportera książek? Kariera literata, gaduły i zmarzlucha? Żaden z tych zawodów nie budził mojego entuzjazmu. Muszę wyjechać, i to z Yvonne.

Nie zostawiłbym za sobą nic, bo nigdzie nie miałem korzeni, Yvonne zaś od swoich się odcięła. Rozpoczęlibyśmy nowe życie.

Czy przykład Marilyn Monroe i Arthura Millera był mi natchnieniem? Od razu

pomyślałem o Ameryce. Tam Yvonne poświęciłaby się filmowi. Ja literaturze. Wzięlibyśmy ślub w wielkiej synagodze w Brooklynie. Borykalibyśmy się z mnóstwem problemów. Być może złamałyby nas one definitywnie, ale gdyby udało się nam je przezwyciężyć, marzenie stałoby się rzeczywistością. Arthur i Marilyn. Yvonne i Victor.

Przewidywałem, że wrócimy kiedyś do Europy. Schronimy się gdzieś w górskich okolicach – w Tessin albo Engadine. Zamieszkamy w ogromnym, góralskim domu otoczonym parkiem. Na etażerce Oscary Yvonne i moje dyplomy doktora *honoris causa* z uniwersytetów w Yale i Meksyku. Będziemy mieli dziesięć dogów niemieckich, których zadaniem będzie rozszarpywanie ewentualnych gości, i nie będziemy się nigdy z nikim widywali. Dni będą nam upływać na obijaniu się po pokoju jak za czasów Hermitage’u i Willi Triste.

Dla tego drugiego okresu naszego życia inspiracją byli mi Paulette Godard i Erich Maria Remarque.

A może zostaniemy w Ameryce. Wyszukamy sobie wielki dom na wsi. Niemalże wrażenie zrobił na mnie tytuł książki, która leżała w salonie Meinthe’a: *Zielona trawa Wyoming*. Nigdy jej nie przeczytałem, ale wystarczy, że powtórzę: *Zielona trawa Wyoming*, by poczuć w sercu bolesne ukłucie.

Słowem, to w tym kraju, którego nie ma, pośród trawy wysokiej i przezroczyście zielonej chciałem zamieszkać kiedyś z Yvonne.

Długo się zastanawiałem, zanim przedstawiłem jej mój projekt wyjazdu do Ameryki. Istniało ryzyko, że nie potraktuje mnie poważnie. Wpierw należało załatwić sprawy finansowe. Żadnej improwizacji. Muszę zgromadzić pieniądze na wyjazd. Z ośmiuset tysięcy franków, jakie wyłudziłem od genewskiego bibliofila, została mi już tylko mniej więcej połowa, liczyłem jednak na inne źródło: niezwykle rzadki okaz motyla przyszpilonego do denka w szklanym pudełeczku, które od kilku miesięcy woziłem w swoich walizkach. Pewien ekspert zapewnił mnie, że owad wart jest, „najskromniej licząc”, czterysta tysięcy franków. Oznaczało to, że wart był dwa razy tyle, a mógłbym dostać za niego i trzykrotnie więcej, jeśli udałoby mi się sprzedać go

kolekcjonerowi. Sam kupiłbym bilety w Generalnym Towarzystwie Transatlantyckim, a w Nowym Jorku zatrzymalibyśmy się w hotelu Algonquin.

Potem liczyłem na to, że moja kuzynka Bella Darvi, która zrobiła tam karierę, wprowadzi nas w środowisko filmowe. Ot, i tyle. Tak z grubsza przedstawiał się mój plan.

Policzyłem do trzech i usiadłem na jednym ze stopni głównych schodów. Niżej, przez poręcz widziałem recepcję i portiera, który rozmawiał z jakimś łysem osobnikiem w smokingu. Odwróciła się zdziwiona. Miała na sobie zieloną muślinową sukienkę i szal w tym samym kolorze.

– A może byśmy wyjechali do Ameryki?!

Wykrzyczałem to zdanie w obawie, że utkwi mi w gardle albo że zamieni się w bełkot. Wzięłem głęboki oddech i jeszcze raz powtórzyłem równie głośno:

– Może pojedziemy do Ameryki?

Przysiadła obok mnie na schodach i ścisnęła mnie za ramię.

– Źle się czujesz? – zapytała.

– Ależ skąd. To bardzo proste... To bardzo proste, bardzo proste... Wyjedziemy do Ameryki...

Popatrzyła na swoje pantofelki na obcasach, pocałowała mnie w policzek i powiedziała, że wytłumaczy jej to później. Minęła dziewiąta, a w Resserre w Veyrier-du-Lac czekał na nas Meinthe.

Miejsce to przypominało gospody nad brzegami Marny. Stoliki stały na wielkim pontonie, wokół którego rozstawiono kraty z pnącą zielenią, donice z roślinami i krzewami. Jadło się przy świecach. René wybrał jeden ze stolików najbliższej wody.

Ubrany był w beżowy garnitur z szantungu; pomachał do nas ręką. Towarzyszył mu jakiś młodzieniec, którego nam przedstawił, ale zapomniałem już, jak tamten się nazywał. Usiedliśmy naprzeciwko.

– Sympatyczne miejsce – powiedziałem tonem zagajenia rozmowy.

– Tak, jeśli się to lubi. Ten hotel to właściwie dom schadzek...

– Od kiedy to? – spytała Yvonne.

– Od zawsze, moja droga.

Znów popatrzyła na mnie i roześmiała się. A potem:

– Ty wiesz, co proponuje mi Victor? Chce mnie zabrać do Ameryki.

– Do Ameryki?

Był wyraźnie zdezorientowany.

– Dziwny pomysł.

– Tak – potwierdziłem. – Do Ameryki.

Uśmiechnął się do mnie z niedowierzaniem. Dla niego to były puste słowa.

Zwrócił się do swego przyjaciela:

– No i co, lepiej?

Tamten przytaknął skinieniem głowy.

– Teraz powinienes coś zjeść.

Zwracał się do niego jak do dziecka, choć chłopak musiał być nieco starszy ode mnie. Miał jasne, krótko obcięte włosy, twarz o anielskich rysach i posturę zapaśnika.

René wyjaśnił nam, że jego przyjaciel stawał tego popołudnia do zawodów o tytuł „Najpiękniejszego Kulturysty Francji”. Konkurs odbywał się w kasynie. Zdobył trzecie miejsce w kategorii juniorów. Chłopak przecesał dłonią włosy i zwrócił się do mnie:

– Cóż, nie miałem szczęścia...

Po raz pierwszy się odezwał, po raz pierwszy też zauważyłem lawendowy błękit jego oczu. Do dziś pamiętam dziecięce strapienie malujące się w jego spojrzeniu. Meinthe nałożył mu surówki na talerz. Tamten nadal zwracał się do mnie i do Yvonne. Czuł potrzebę zwierzeń.

– Te łobuzy z jury... powinienem był dostać najwyższą ocenę za program dowolny...

– Cicho bądź i jedz – powiedział czułym tonem Meinthe.

Z naszego stolika widać było dalekie światła miasta. Jeśli odwróciło się głowę nieco w lewo, uwagę przyciągało inne, silnie jaśniejące światło naprzeciwko, na drugim brzegu: Sainte-Rose. Tamtej nocy reflektory omiatały fasady kasyna i Sportingu; snopy światła sięgały aż po brzegi jeziora, rzucając na wodę czerwono-zielone refleksy. Słyszałem wzmocniony przez głośnik jakiś głos, lecz byliśmy zbyt daleko; żeby wychwycić słowa. Odbywał się właśnie spektakl *Światło i dźwięk*. W lokalnej prasie przeczytałem, że przy tej okazji aktor z Comédie-Française – chyba Marchat – recytował będzie *Jezioro* Alphonse’a Lamartine’a. To pewnie jego głos niósł się do nas echem.

– Powinniśmy zostać w mieście, żeby popatrzeć – powiedział Meinthe. – Uwielbiam te spektakle. A ty?

Zwracał się do swego przyjaciela.

– Nie wiem – odpowiedział tamten. Przygnębienie w jego spojrzeniu stało się wyraźniejsze.

– Moglibyśmy zajrzeć tam na chwilę – podsunęła Yvonne z uśmiechem.

– Nie – powiedział Meinthe. – Tej nocy muszę jechać do Genewy.

Co tam załatwiał? Z kim spotykał się w Bellevue czy w Pavillon Arosa; miejscach, które wyznaczał mu przez telefon Kustiker? Przyjdzie dzień, że nie wróci stamtąd żywy. Genewa – miasto z pozoru nieszkodliwe, ale i niegodziwe. Miasto niepewne. Miasto tranzytowe.

– Zostanę tam około trzech, czterech dni – powiedział Meinthe. – Zadzwoń do was po powrocie.

– Tylko że do tego czasu Victor i ja wyjedziemy już do Ameryki – oświadczyła Yvonne.

I roześmiała się. Nie pojmowałem, czemu mój plan traktuje tak niefrasobliwie. Poczulem wzbierającą we mnie głuchą wściekłość.

– Osobiście mam już Francji powyżej uszu – oświadczyłem dobitnie.

– Ja też – powiedział przyjaciel Meinthe’a brutalnym tonem, kontrastującym z jego dotychczasową nieśmiałością i smutkiem.

Uwaga ta rozładowała atmosferę.

Meinthe zamówił alkohole; byliśmy ostatnimi gośćmi na pontonie. Z głośników w oddali falami dobiegała do nas muzyka.

– To orkiestra miejska. Grywa na wszystkich spektaklach *Światła i dźwięku*. – Odwrócił się do nas: – Co robicie dziś wieczorem?

– Szykujemy bagaże na wyjazd do Ameryki – oświadczyłem sucho.

Yvonne znowu popatrzyła na mnie z niepokojem.

– Upiera się przy tej swojej Ameryce – powiedział Meinthe. – Zostawicie mnie tu więc samego?

– Ależ skąd – powiedziałem.

Tręciliśmy się wszyscy czworo, ot, tak sobie, bez powodu, tylko dlatego że Meinthe to zaproponował. Jego przyjaciel uśmiechnął się blado, a w jego błękitnych oczach pojawił się ukradkowy błysk wesołości. Yvonne ujęła mnie za rękę. Kelnerzy zaczęli porządkować stoliki.

Takie wspomnienia mi pozostały z naszej ostatniej kolacji.

Zmarszczywszy brwi, uważnie mnie słuchała. Leżała na łóżku w swojej starej jedwabnej podomce w czerwone grochy. Wyłuszczałem jej mój plan: Generalne Towarzystwo Transatlantyckie, hotel Algonquin, kuzynka Bella Darvi... W miarę jak mówiłem, wydawało się, że Ameryka, ta ziemia obiecana, do której popłyniemy za kilka dni, jest bardzo blisko, nieledwie w zasięgu ręki. Czyż to nie jej światła migotały tam, po drugiej stronie jeziora?

Dwa czy trzy razy przerwała mi, żeby zapytać: „Co będziemy robić w Ameryce? Jak zdobędziemy wizy? Z czego będziemy żyli?”. I tak byłem pochłonięty moim tematem, że ledwie zauważyłem, że głos jej stawał się coraz bardziej bezbarwny. Miała przymknięte, może w ogóle zamknięte oczy, aż znienacka otworzyła je szeroko, przyglądając mi się z przestachem. Nie, nie możemy zostać we Francji, w tym zatęchłym kraju, wśród tych czerwonogębnych „kiperów”, kolarzy i zidiociałych smakoszy, którzy potrafią się spierać o różnice między poszczególnymi gatunkami gruszek. Wprost dławilem się z wściekłości. Ani minuty dłużej nie możemy zostać w kraju, gdzie poluje się z nagonką. Skończone. Nigdy więcej. Walizki. Szybko.

Zasnęła. Głowa jej osunęła się po prętach łóżka. Z tymi delikatnie obrzmiałymi policzkami, ledwie dostrzegalnym uśmiechem wyglądała na o pięć lat młodszą. Zasnęła, tak jak wtedy, kiedy czytałem jej *Historię Anglii*, ale jeszcze szybciej niż przy lekturze Maurois.

Patrzyłem na nią, siedząc na parapecie. Gdzieś w oddali strzelały w niebo sztuczne ognie.

Zabrałem się do pakowania bagaży. Żeby jej nie obudzić, pogasiłem w pokoju wszystkie światła z wyjątkiem lampki nocnej. Poszedłem do szaf po jej i swoje rzeczy.

Nasze otwarte walizy ustawiłem rzędem na podłodze w „salonie”. Miała ich sześć, różnej wielkości. Razem z moimi było ich jedenaście, nie licząc kufra-szafy. Pozbierałem swoje ubrania i stare gazety, ale jej rzeczy poskładać było trudniej i gdy już myślałem, że uporałem się z wszystkim na dobre, znów znajdowałem a to jeszcze jedną sukienkę, a to flakon perfum czy stertę szali. Siedzący na kanapie pies bacznie śledził moją krzątanicę.

Zabrakło mi siły, by pozamykać wszystkie walizki, i opadłem na krzesło. Pies oparł łeb na brzegu kanapy i spoglądał na mnie z ukosa. Przez długą chwilę patrzyliśmy sobie prosto w oczy.

Zaczynało świtać. Nawiedziło mnie ulotne wspomnienie przeżytej już niegdyś podobnej chwili. Znów ujrzałem umeblowane mieszkanie w szesnastce czy siedemnastce – ulica Colonel-Moll, skwer Villaret-de-Joyeuse, aleja Général-Balfourier – ze ścianami pokrytymi taką samą tapetą jak w pokojach Hermitage’u i gdzie widok krzesel i łóżek napełniał serce podobnym przygnębieniem. Ponure miejsca, chwilowe postoje, skąd za każdym razem wynosić się trzeba przed nadejściem Niemców i w których nie zostaje po nas żaden ślad.

To ona mnie obudziła. Zdumiona przyglądała się wypełnionym po brzegi walizom.

– Po co to zrobiłeś?

Przysiadła na największej, z ciemnoczerwonej skóry. Wyglądała na wyczerpaną, jakby sama pomagała mi przez całą noc pakować bagaże. Miała na sobie plażowy

szlafrok rozchylony na piersiach.

Jeszcze raz, półgłosem zacząłem jej więc opowiadać o Ameryce. Przyłapałem się na tym, że skanduję zdania, przez co zaczynają brzmieć niczym jakaś monotonna recytacja.

Wyczerpawszy argumenty, powiedziałem jej, że sam Maurois, uwielbiany przez nią pisarz, w 1940 roku wyjechał do Ameryki. Maurois. Maurois.

Kiwnęła głową i uśmiechnęła się do mnie uprzejmie. Zgadza się. Wyjedziemy jak najszybciej. Nie zamierza się ze mną spierać. Tyle tylko że powinienem odpocząć. Przesunęła dłonią po moim czole.

Pozostało mi jeszcze tyle różnych drobiazgów do załatwienia. Na przykład wiza dla psa.

Słuchała mnie z uśmiechem, bez sprzeciwu. Przez długie godziny mówiłem i mówiłem, wciąż powtarzając te same hasła: Algonquin, Brooklyn, Generalne Towarzystwo Transatlantyckie, Zukor, Goldwyn, Warner Bros, Bella Darvi... Ileż ona miała cierpliwości.

– Powinieneś się trochę przespać – powtarzała co jakiś czas.

Czekałem. Co się z nią działo? Obiecała, że będzie na dworcu pół godziny przed przyjazdem ekspresu do Paryża. Przynajmniej w ten sposób nie ryzykujemy, że nam ucieknie. Tyle że pociąg właśnie odjeżdżał, ja zaś stałem na peronie, śledząc rytmicznie przesuwane się wagony. Za mną, ustawione w półkole przy jednej z ławek, stały moje walizki i kufer-szafa. Ostre światło rzucało cienie na peron. Czułem w sobie pustkę i to oszołomienie, jakie zwykle pozostawia po sobie przejeżdżający pociąg.

Właściwie spodziewałem się tego. Nierealne było, żeby sprawy potoczyły się inaczej. Znów zadumałem się nad moimi bagażami. Trzysta lub czterysta kilo, które zawsze z sobą taszczyłem. I po co? Na myśl o tym ogarnął mnie pusty śmiech.

Najbliższy pociąg przyjedzie sześć minut po północy. Miałem jeszcze ponad godzinę, wyszedłem więc z dworca, zostawiając bagaże na peronie. Ich zawartość nikogo by nie zainteresowała. Zresztą i tak były zbyt ciężkie, żeby je gdzieś przenieść.

Wstąpiłem do kawiarni w rotundzie obok hotelu Verdun. Jakże się ona nazywała – Café des Cadrans czy Café de l’Avenir? Przy stolikach w głębi sali siedzieli szachiści. Przez otwarte drzwi z ciemnego drewna widać było pokój bilardowy. Kawiarnię oświetlało migotliwie różowe światło neonowych rurek. Od czasu do czasu dobiegały mnie stukot kul bilardowych oraz nieprzerwane trzeszczenie neonu. I nic poza tym. Żadnego słowa. Żadnego westchnienia. Półgłosem zamówiłem napój lipowo-miętowy.

Ameryka wydała mi się nagle bardzo odległa. Czy to tu właśnie grywał w bilard Albert, ojciec Yvonne? Jakże bym chciał to wiedzieć. Czuję ogarniające mnie odrętwienie; tu, w tej kafejce odnajdywałem ten sam spokój co Pod Lipami u pani Buffaz. Za sprawą zjawiska alternacji czy może cyklotomii, moje dotychczasowe marzenia ustąpiły teraz miejsca innym; wyobraziłem sobie, że jestem z Yvonne nie w Ameryce, lecz w małym mieście na prowincji, osobliwie przypominającym Bayonne. Tak, mieszkamy przy ulicy Thiers, a w letnie wieczory spacerujemy pod arkadami teatru albo alejami Boufflers. Yvonne ujmowała mnie za rękę; dobiegał nas stukot piłeczek tenisowych. W niedzielne popołudnia spacerowaliśmy wzdłuż murów obronnych i siadywaliśmy na ławce w parku miejskim, obok popiersia Leona Bonnata. Bayonne, miasto wytchnienia i słodyczy, po tylu latach niepewności. Może jeszcze nie jest za późno. Bayonne...

Szukałem jej wszędzie. Próbowałem znaleźć ją w Sainte-Rose w tłumie gości jedzących kolację i pośród tańczących. Odbywał się właśnie wieczór figurujący w programie jako jedno z wydarzeń sezonu, chyba *Wieczór świetlisty*. Tak, świetlisty. Opadające krótkimi lawinami konfetti przysypywało włosy i ramiona.

Przy tym samym stoliku, który zajmowali w pucharowy wieczór, zauważyłem Fossoriégo, Roland-Michelów, ciemnowłosą kobietę, prezesa klubu golfowego oraz obie opalone blondynki. W gruncie rzeczy od miesiąca siedzieli wciąż na tych samych miejscach. Zmieniła się jedynie fryzura Fossoriégo: pierwsza wybrylantowana fala tworzyła jakby rodzaj diademu okalającego mu czoło. Za nią wgłębienie. I następna, obfita fala przebiegająca czaszkę i rozpryskująca się kaskadami na skroniach. Nie, wcale sobie tego nie wymyśliłem. Wstają i idą w stronę parkietu. Orkiestra gra paso

doble. Pod deszczem konfetti mieszają się z resztą tańczących. A wszystko to w moim wspomnieniu wiruje i kręci się, kłębi i rozsypuje. Pył.

Czyjaś dłoń na moim ramieniu. Tutejszy zarządzający, Pulli.

– Czy pan kogoś szuka, panie Chmara? Pyta mnie szeptem, na ucho.

– Panny Jacquet... Yvonne Jacquet...

Wymówiłem jej nazwisko bez większej nadziei. Skąd miałby wiedzieć, kto je nosi. Tyle twarzy... Noc po nocy wciąż nowi goście. Na pewno by ją rozpoznał, gdybym pokazał mu fotografię. Zawsze należy nosić przy sobie zdjęcia tych, których się kocha.

– Panna Jacquet? Przed chwilą wyszła w towarzystwie pana Daniela Hendrickxa...

– Naprawdę?

Musiałem chyba dziwnie wyglądać, nadać policzki jak dziecko, które lada chwila się rozpłacze, bo ujął mnie za ramię.

– Ależ tak. W towarzystwie pana Daniela Hendrickxa...

Nie mówił „z”, ale „w towarzystwie”, w czym dopatrzyłem się owej precyzji języka, tak typowej dla kręgów kairskiej i Aleksandryjskiej socjety w czasach, gdy obowiązywał tam francuski.

– Wypije pan ze mną szklaneczkę?

– Nie, sześć minut po północy mam pociąg.

– Odprowadzę zatem pana na dworzec, panie Chmara.

I ciągnie mnie za rękaw. Zachowuje się swobodnie, ale i z respektem. Przedzieramy się przez cizbę tańczących. I wciąż to paso dobre. Konfetti opada teraz nieprzerwanym deszczem, oślepia mnie. Śmieją się, tłoczą dookoła. Zderzam się z Fossoriém. Jedna z opalonych blondynek, ta, która nazywa się Meg Devillers, rzuca mi się na szyję:

– Och, to pan... pan... pan...

I nie chce mnie puścić. Ciągnę ją za sobą, przez jakieś dwa, trzy metry. W końcu udaje mi się od niej uwolnić. Zatrzymujemy się, Pulli i ja, na podeście schodów. Nasze włosy i marynarki obsypane są konfetti.

– To „światlista noc”, Chmara.

Wzrusza ramionami.

Jego samochód stoi zaparkowany przed Sainte-Rose, na poboczu drogi nad jeziorem. Simca chambord; ceremonialnie otwiera przede mną drzwi.

– Niech pan wsiada do tego grata.

Nie od razu rusza.

– W Kairze miałem wielki kabriolet.

I zaraz potem:

– A pana walizki, panie Chmara?

– Są na dworcu.

Przejechaliśmy kilka minut, gdy zapytał:

– Dokąd się pan udaje?

Nie odpowiedziałem. Zwolnił. Jechaliśmy nie więcej niż trzydzieści na godzinę. Odwrócił się do mnie:

– ... Podróże...

Zamilkł. I ja milczałem.

– Trzeba gdzieś w końcu osiąść – powiedział po chwili. – Niestety...

Jechaliśmy wzdłuż jeziora. Po raz ostatni patrzyłem na światła Veyrier naprzeciwko, na ciemny masyw Carabacelu na horyzoncie przed nami. Zmrużyłem oczy, próbując wypatrzeć przejeżdżającą kolejkę. Byliśmy jednak zbyt daleko.

– Wróci pan tu, Chmara?

– Nie wiem.

– Szczęściarz z pana, że pan wyjeżdża. Ach, te góry...

Wskazał na majaczącą z dala w poświacie księżycy przełęcz Aravisów.

– Wydaje się, że zwał się w końcu człowiekowi na głowę. Ja się tu duszę, Chmara.

Było to wyznanie płynące prosto z serca. Wzruszyło mnie, lecz nie czułem się na siłach, by go pocieszać. W końcu to on był ode mnie starszy.

Wjechaliśmy do miasta aleją Maréchal-Leclerc. Niedaleko stąd znajdował się dom rodzinny Yvonne. Pulli prowadził ryzykownie, lewym pasem, jak Anglicy, na

szczęście jednak nikt nie jechał z naprzeciwka.

– Mamy jeszcze czas, Chmara.

Zatrzymał swoją simcę chambord na placu de la Gare, przed hotelem Verdun.

Przeszliśmy przez pustą halę dworcową. Pulli nie musiał nawet kupować peronówki. Bagaże wciąż stały na swoim miejscu.

Usiedliśmy na ławce. Oprócz nas nie było nikogo. Ta cisza, łagodne powietrze, oświetlenie miały w sobie coś tropikalnego.

– To dziwne – zauważył Pulli. – Czuję się tak, jakbyśmy byli na dworcu w Ramleh...

Poczęstował mnie papierosem. Paliliśmy z powagą, nie odzywając się do siebie. Wydaje mi się nawet, że wyzywająco puściłem kilka kółek dymu.

– Czy panna Yvonne Jacquet naprawdę wyszła z panem Danielem Hendricksem?

– Ależ tak. Czemu pan pyta?

Pogładził swe czarne wąsy. Miałem wrażenie, że chce mi powiedzieć coś bardzo celnego i znaczącego, ale jakoś mu nie wychodziło. Zmarszczył czoło. Po skroniach spływały mu kropelki potu. Popatrzył na zegarek. Dwie minuty po północy. Wtedy podjął z wysiłkiem:

– Mógłbym być pańskim ojcem, Chmara... Proszę posłuchać... Ma pan przed sobą całe życie... Trzeba być dzielnym...

Obracał głowę w prawo, w lewo, wypatrując pociągu.

– Nawet ja, w moim wieku... Unikam spoglądania w przeszłość... Próbuję zapomnieć o Egipcie...

Na dworzec wjechał pociąg. Śledził go spojrzeniem jak zahipnotyzowany.

Chciał pomóc mi wnieść bagaże. Podawał je kolejno jeden za drugim, ja zaś ustawiałem je w korytarzu wagonu. Jeden. Potem dwa. Potem trzy.

Niewąsko natrudziliśmy się z kufrem-szafą. Jak nic, zerwał sobie mięsień, dźwigając go i popychając w moją stronę, robił to jednak niemal zapamiętale.

Konduktor zatrzasnął drzwi. Otworzyłem okno i wychyliłem się na zewnątrz. Pulli uśmiechnął się do mnie.

– Niech pan pamięta o Egipcie i powodzenia, *old sport*...

Te dwa angielskie słowa w jego ustach zaskoczyły mnie. Pomachał ręką. Pociąg ruszył. Nagle spostrzegł, że zapomnieliśmy o jednej z moich walizek, tej owalnej, obok ławki. Chwycił ją, zaczął biec. Próbował dogonić wagon. W końcu stanął zdyszany i wykonał szeroki gest niemocy. Trzymając walizkę w dłoni, stał sztywno w świetle peronowych lamp. Wyglądał jak żołnierz na warcie, coraz mniejszy i mniejszy. Ołowiany żołnierz.

Tytuł oryginału

Villa Triste

© Éditions Gallimard, 1975

Projekt okładki

Oksana Shmygol

Fotografia na okładce

© Bettmann / CORBIS

Opieka redakcyjna

Anna Rucińska-Barnaś

Korekta

MELES-DESIGN

Copyright © for the Polisach translation by Joanna Polachowska

© Copyright for this edition by SIW Znak sp. z o.o., 2014

ISBN 978-83-240-3290-7

znak

Książki z dobrej strony: www.znak.com.pl

Społeczny Instytut Wydawniczy Znak, 30-105 Kraków, ul. Kościuszki 37

Dział sprzedaży: tel. [12 61 99 569](tel:126199569), e-mail: czytelnicy@znak.com.pl

Plik opracował i przygotował Woblink

woblink

woblink.com